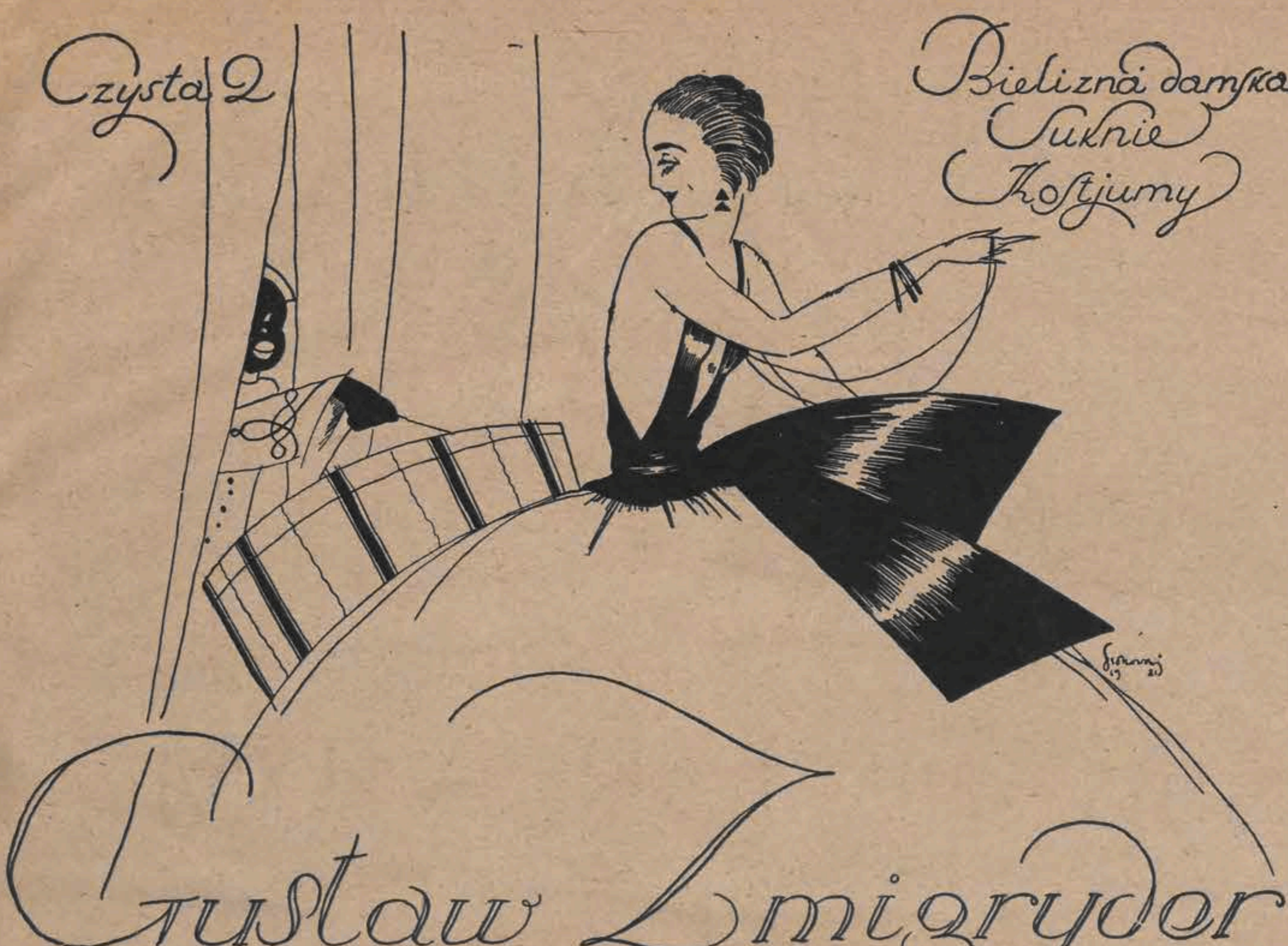
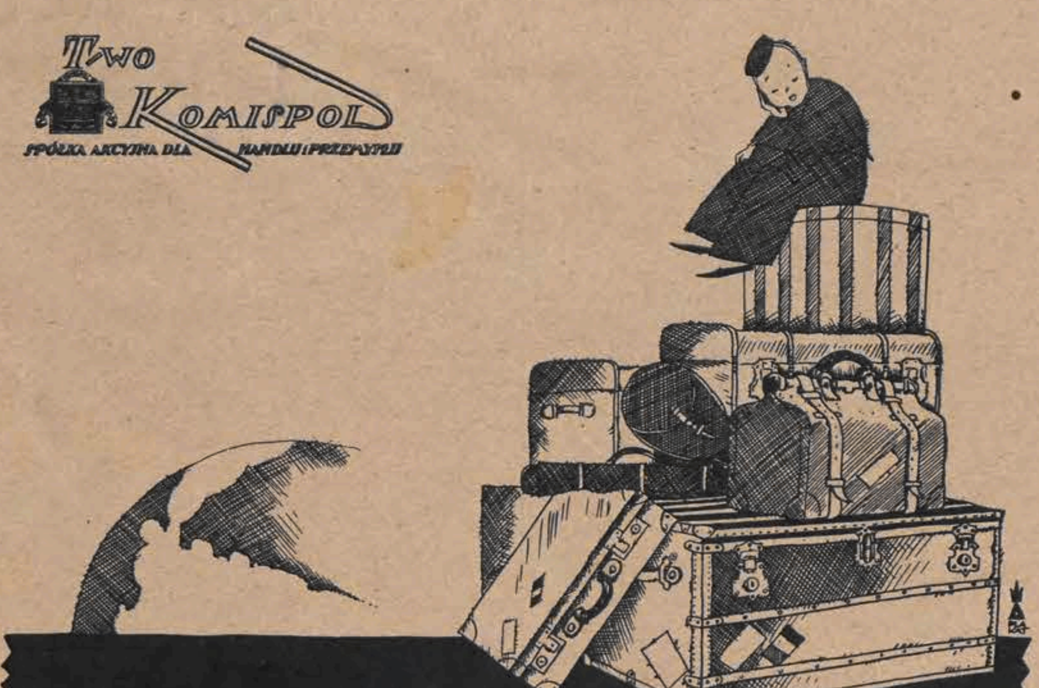
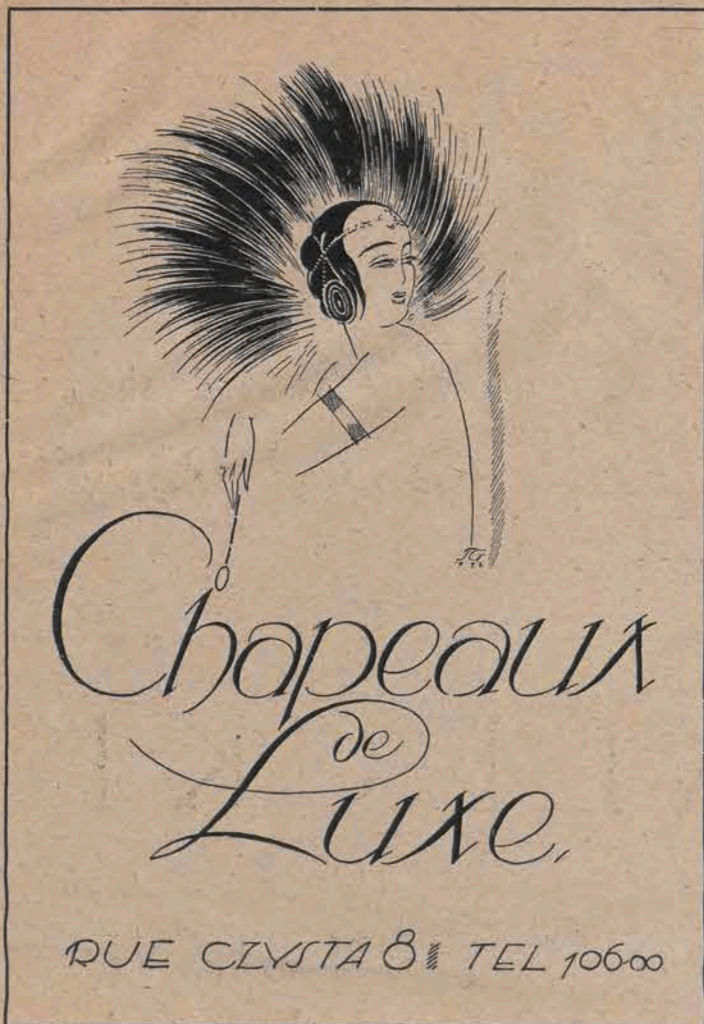
PANI



Nr. 3 MARZEC CENA MK. 6.000


Czysta 2
Bielizna damska.
Suknie
Kostjumy
Gustaw Żmigryder


T-wo
Komispol
Spółka Akcyjna dla Handlu i Przemysłu
PRZYBORY PODRÓŻNE
I GALANTERJA


Chapeaux
de
Luxe.
RUE CZYSTA 8 TEL 106-00


Magazyn
Wykwintnej Galanteryi
W. GOLIŃSKA
Warszawa
Plac Teatralny
POLECA WIELKI WYBÓR
WYKWINTNYCH TOREBEK DAMSKICH


Mme Henriette
WYKWINTNE
KAPELUSZE
ARTYSTYCZNE
LALKI
MAZOWIECKA
6

Pani

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 3 MARZEC 1923 ROK II



Fot. J. Malarski

H. ZBOIŃSKA-RUSZKOWSKA w roli Marszałkowej
„Kawaler Srebrnej Róży"

KOSZULA CZŁOWIEKA SZCZĘŚLIWEGO

Wszyscy znają wzruszającą historję, którą poza tem dotkliwie posolił ironją pan Anatol France, o tym królu, któremu kazano wdziać koszulę człowieka szczęśliwego, aby ozdrowiał; kiedy znaleziono wreszcie człowieka szczęśliwego, pokazało się, że nie miał on koszuli, biedaczysko.

Historja ta skłoniła mnie do głębokich rozważań na temat: jeżeli człowiekiem szczęśliwym jest ten, który nie ma koszuli, w takim razie w Polsce jest wielu szczęśliwych, narzekanie zaś inteligencji i genjuszów jest zwyczajną obłudą, są to bowiem ludzie szczęśliwi. Możnaby pójść dalej i, mierząc stopień szczęścia brakiem nietylko koszuli, ale i innych części garderoby, dojść do znakomitego odkrycia, że wśród szczęśliwych najszczęśliwszy jest profesor uniwersytetu, ten bowiem nie ma także i portek. (Słowo to, dziwnie brzmiące w wytwornem piśmie, oznacza spodnie, ale w stanie beznadziejnej rozpaczy—spodnie uczonego, poety, lub malarza, smutne, wystrzępione, ułożone w harmonijkę, źle skrojone, z parszywego materjału, kupione na kredyt i zostawione wdowie „na otarcie łez", jako jedyna nieruchomość).

Są więc ludzie szczęśliwi. Nie należy tylko mieć koszuli. Może więc wedle tej doskonałej metody rozumowania, zapanowała wśród pań z eleganckiego świata, jeśli wogóle świat może być elegancki, dziwna moda nieużywania koszuli. Tak jest w istocie. Wytworne suknie nakładają panie wprost na nagie ciało. Z odkryciem tem zaznajomił mnie człowiek, który często tańczy, ma więc sposobność czynienia pilnych doświadczeń. Ten brak koszuli jest pomysłem głębokim: kobieta chce w ten sposób okazać przedewszystkiem, że i ona ma niejakie wspólne cechy z inteligencją pracującą umysłowo; jest to wprawdzie jedyna cecha wspólna, ale istotna.

Dlaczego wytworne panie nie noszą koszul? Brantôme wymyśliłby jako powód jakieś plugastwo, czego ja nie uczynię. Myślę, że przedewszystkiem z oszczędności.

— Ja nawet koszuli nie noszę! — mówi żona do męża.

Poza tem wytrąca się broń z ręki brutala; nikt już dziś kobiecie nie powie:

— Wziąłem cię, małpo jedna, w jednej koszuli!

Byłoby to bowiem oszczerstwo.

W mozolnem szukaniu powodów możnaby dojść do uznania w wytwornej kobiecie nowoczesnej praktycznego zmysłu w oszczędzaniu czasu i ruchu, do czego dąży technika nowoczesna. Jakżeż skomplikowane było życie dawniejsze! Ileż wymagało banalnych powiedzeń w celu wypełnienia ambarasującej chwili, zanim doszło do tej nieszczęsnej koszuli. Był to cały, głupi romans. Przy zdejmowaniu kapelusza dama musiała mówić:

— Ach, co pan robi? Jeszcze kto wejdzie...

Ponieważ nikt nie wchodził, trzeba było rozpinać suknię. Dama musiała mówić wedle ceremonjału:

— Czyś pan oszalał? Za kogo mnie pan bierze?!

Kiedy się jeszcze nosiło gorsety, rytuał wymagał oświadczenia w tonie energicznym:

— Panie, bo w tej chwili wyjdę i więcej się nie zobaczymy!

Ten szczegół wyszedł z mody razem z gorsetem. Przy zdejmowaniu halki mówiło się:

— Boże! co pan sobie o mnie pomyśli!...

A przy koszuli:

— Powiedz, że mną nie będziesz gardził...

Było to długie i nudne. Usunęła to całkowicie rozumna moda nowoczesna; żadnych komplikacyj, tylko jeden ruch ramion, a suknia opada, jak obłok. Ceremonjał nowoczesny każe mężczyźnie w tym momencie jedynie udać, że go nagość oślepiła, jak słońce i że z zachwytu oniemiał.

Wtedy już jest oczywiście jasne, że kobieta bez koszuli jest szczęśliwa.

Moda ta jedno tylko zupełnie uniemożliwia: dowody poświęceń.

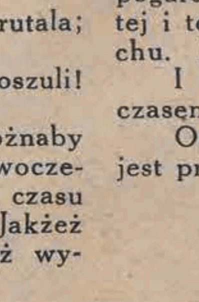
Królowa Izabella przez lat siedem nie zdjęła koszuli z żałoby po mężu. Smaczna ta królowa już nigdy nie znajdzie naśladowczyń. Nowoczesna precieusa nawet na pogrzebie męża nie będzie miała koszuli. Koszule noszą jedynie osoby źle wychowane, piegowate, źle zbudowane i takie, których nikt, nigdy i nigdzie nie chce oglądać w stanie „surowym".

Moda ta ma jednak i dobre swoje strony; w razie pożaru i w chwili, kiedy się trzeba rzucić do wody, aby ratować tonącego, wytworna dama ma stanowczo przewagę nad kobietą uczciwą, więc źle i niemodnie ubraną. Z jaką przy tem litościwą pogardą czyta dama modna notatkę w gazecie, że tej i tej pani ukradziono dwanaście koszul ze strychu. Niech kto spróbuje zrobić to u niej!

I dlatego jest szczęśliwa. I nie jeno ona, — czasem i inni!

Opowieść „o koszuli człowieka szczęśliwego" jest przedziwnie mądra i prawdziwa.

KORNEL MAKUSZYŃSKI



ZŁOTA KSIĘGA TWÓRCZOŚCI

Żył w osiemnastym wieku we Francji młody pisarz, później głośny filozof, nazwiskiem Diderot. Kochał on pewną wytworną damę, panią de Puisieux. Pani de Puisieux potrzebowała strojnej sukni. Diderot był biedakiem. Niewiele myśląc (lub raczej może: wiele myśląc), zamknął się w swej izdebce i w ciągu czterech dni napisał słynne „Myśli filozoficzne". Zaniósł je do księgarza i otrzymał 50 ludwików. Pani de Puisieux dostała suknię, Francja zaś i ludzkość zyskały dzieło, jedno z tych, które przyczyniły się do odnowienia ducha epoki.

Byłoby oczywiście przesadą uogólniać ten fakt i chcieć doszukiwać się podobnej genezy np. dla „Krytyki czystego rozumu" Kanta, lub dla „Słownika" Lindego; niemniej, z drugiej strony, nie jest on z pewnością odosobnionym wypadkiem. Mimo to, historja literatury, też wielce kapryśna Pani, uważała za stosowne zapisać na swych kartach właśnie ten jeden: ilekroć jest mowa o „Myślach filozoficznych" Diderota, tylekroć cytuje się sławną suknię pani de Puisieux. Dama ta stała się niemal współautorką owego niepospolitego utworu...

I jeszcze jedna niesprawiedliwość! Taż sama historja literatury ani słówkiem nie wspomina nazwiska firmy, która wykonała ową historyczną suknię. A przecież zważmy: gdyby suknia pani de Puisieux, zamiast 50 ludwików, kosztowała tylko 10, „Myśli Filozoficzne" Diderota skurczyłyby się może do jednej piątej wymiarów. Ba! gdyby suknia kosztowała 5 ludwików, może wogóle nie mielibyśmy „Myśli Filozoficznych", a ich autor pożyczyłby poprostu tę skromną kwotę na „słowo honoru" od znajomego! Któż tedy jest istotnym, najistotniejszym sprawcą tego dzieła? Kto rozstrzygnął o jego powstaniu i jego formie? Odpowiedź chyba jasna.

Niech się już nie powtórzy ta niesprawiedliwość i to karygodne zapomnienie! Wzywam wszystkich, nietylko braci po piórze, ale wogóle wszystkich na jakiemkolwiek polu działających ludzi w Polsce: niech stworzą na tych szpaltach ZŁOTĄ KSIĘGĘ GUSTAWA ZMIGRYDERA niech co miesiąc będzie tu zapisane: takie a takie znakomite dzieło zrodziło się dzięki temu, że ta a ta pani pożądała namiętnie nowej sukni!

Wreszcie—jedna jeszcze refleksja ku zawstydzeniu płci męskiej: o ileż niewiasty nasze gorliwsze są i punktualniejsze w spełnianiu zadań społecznych! Ileż znalazłoby się u nas pań de Puisieux, a jak trudno o jednego Diderota!...

BOY



„P A N I"

PODŁUG MŁODOŻEŃCA

W krzakocieniu tęczobarwnie
co się mieni?
Smukłodrobna, sewrskokrucha
Mamzell Dżeni.
Caféaulait płaszczosuknia
w kwiat rozkwita,
Barwnohaftem, drobnościegiem
sutoszyta.
Biało-żółte, bordo-szare
arabeski,
Deseniują w płaszczosukni
kółka, kreski.
Skrętopukle drobną główkę
ocieniują,
Chytrowzroczne popatrzenia
spojrzeniują.

Cienkokostne, pulchnołydkie
drobnonóżki
Drobnostąpnie przemierzają
wąskodróżki.
Perskooczne popatrzenia
chytrociska,
Białośmieszek w wargoponsie
białobłyska.
Muszlokształtne drobnorączki paluszkują
w kwiatokiści,
Pięciolistne złudoszczęście
czy się ziści.

w majonocnej księżycojaśni wymalignowała

LULA

Dzień eleganckiej kobiety

Dzień eleganckiej kobiety powinien bezwarunkowo zacząć się przebudzeniem i to najlepiej o godz. 8. — „Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje śniadanie" — mówi przysłowie. — Elegancka kobieta zrywa się wesoło z łóżka, nucąc „O Bajadero!", bo nic innego zapewne spamiętać nie potrafi, — przecież ma tyle na głowie. — Wstawszy, powinna zmyć całe ciało wraz z oczami mocnym spirytusem, pamiętając przytem w każdej porze dnia, że aby jej ktoś nie nazwał „pudłem", musi zawsze wyglądać „jak z pudełka". — Więc ciągnąc dalej naszą elegantkę, widzimy ją zajętą odbijaniem własnej postaci w zwierciadle. Wiemy, że w lustrze odbijają się kolejno głowa, uszy, twarz, nos, broda (o ile ją ktoś posiada) biust, lędźwie, itd., i że wszystko trzeba dobrze zlustrować przed zaczęciem toalety.

Po dokładnem zbadaniu czy czego nie brakuje, powinna narzucić na kibić czepeczek tiulowy i takiż „saut de lit"; jak powiedział jeden z naszych bardzo „en vogue", (w pociągach) autorów polskich, swe śliczne nóżki na wyrost może obuć w czerwone „papuzie" z pomponem. Gdy już wszystkie zabiegi zostaną zrobione, może się zpowrotem położyć do łóżka i dospać do godz. 10-ej.

— O 10-ej twój „saut de lit", piękna pani, będzie tak zmięty, że musisz nałożyć świeży, najlepiej z „crêpe de chine'u" w dobrym tonie „pêche", bo taki nawet prędzej się narzuca.



— Niebawem przyniosą ci do łóżka śniadanko, nie powiem czekoladowe, ale kawowe. Gdy je lekko strawisz, możesz zacząć ranną toaletę. Nie każda jest taka szczęśliwa jak ty, żeby mieć własną łazienkę. — Uważam, że lekką przesadą jest nie myć się wcale, jeżeli już bocian nie dał komuś łazienki.

Nasi przyjaciele z za oceanu zapobiegli od lat kilku tym brakom w formie gumowego „tuba" (czyt. „tub"). „Tub" mógłby być oprawiony w kwiecisty kreton, żeby i oko mogło się w nim pławić dowoli.

Uważam też, że zarzucenie nieprzemakalnych trykotów do kąpieli odbija się fatalnie na zdrowiu niektórych elegantek — stąd też nieodzowne katarki i podagry. Polecam przynajmniej kapelusik słomkowy do kąpieli; nieraz zdarza się, że „tub" stanie sobie w promieniu słonecznym na posadzce i potem znów nowa bieda z piegami i plamami słonecznemi na twarzy, tak trudnemi do wywabienia.

O godz. 11 nasza strojnisia, przebrana w wspaniałego sealskina i maleńki kapelusz „trotteur", który zaledwie uwypukla jej miniaturowy nosek, zdąża po sprawunki. Trzeba się bardzo spieszyć, bo o 13-ej proszone śniadanie. Wstępuje raz po raz do najwytworniejszych sklepów, gdzie uśmiechem zdobywa sobie najbardziej nieczułych subjektów sklepowych, choć rzadko co kupuje.

Pyta się np.: — Ile kosztuje ten krem „Secret de bonne femme"?

— 40 tysięcy — odpowiada gentleman za ladą, pewny, że ma rację.

— O! tylko 40 tysięcy — a u tego paskarza na Marszałkowskiej 50.

— Pani Sz. bierze?

— Na razie dziękuję, — jak się mój zapas skończy.

Lub w sklepie z kapeluszami (stojąc blisko drzwi):

— Proszę pani, jaka jest cena tego bronzowego kapelusza w oknie?

— 250 tysięcy — odpowiada ponuro osoba dawnej daty, czując, że nie jest całkiem w porządku ze swojem sumieniem.

— Ach! — dziwi się piękna pani — tylko 250 tysięcy, to świetnie, niech mi go Pani zatrzyma do pojutrza.

Jest to świetna zabawa i mało kosztowna.

Po sprawunkach, wróciwszy do domu, zrzuca z siebie ruchem spontanicznym wszystkie drogocenne zwierzęta, sealskiny, merynosy, himalaje, i nakłada na bose ramiona prawdziwe kimono — tak, niema nic milszego, jak młoda kobieta o 12 godz. w południe, w barwnem kimonie. Lecz do tego trzeba dostosować i uczesanie; tak modne teraz wysokie grzebienie doskonale imitują japoński typ głowy. Bo i cóżby było, gdyby niedyskretny mąż wszedł do jej pokoju i zastał swą żonę uczesaną nieodpowiednio.



— Taka z ciebie japonka, że nie wiem — jeszczeby gotów powiedzieć.

O wpół do 13-ej ma proszone śniadanie. — „Wiosna mnie rozbiera" — desperuje. — „Na nic człowiek nie ma czasu — ani nawet na czytanie". — Na książkę będzie czas w grobie, teraz trzeba żyć — pociesza ją jakiś głos wewnętrzny. — Niedługo wychodzi ze swej ubieralni opięta jak rękawiczka, w sukni aksamitnej koloru „grènouille ecrasé". — Po powrocie z dyplomatycznego śniadania o godz. 14-ej, biedna elegantka, której już mocno dokuczyły ciągłe śniadania i obiady, pada jak martwa na turecką otomanę. — Może teraz chwilę odpocznie. —



Jest to tylko złudzenie, bo właśnie w tej chwili panna służąca przynosi na tacy nową pyjamę z magazynu. — „Trzeba przymierzyć" — radzi. — „Niema to jak spodnie, co za swoboda ruchów. Szczęśliwi chłopcy, że się rodzą w spodniach, a nie tak, jak my, w czepkach" — filozofuje piękna kobieta. Od 14 do 15-ej pozorny spokój, choć w powietrzu wisi już jakaś nowa suknia. —

O 15-ej dzwonek.

— Powiedz, że mnie niema! Że śpię! — woła rozpaczliwie do służącej.

— Kiedy to pan Zbączkowski — tłumaczy zaufana dziewczyna.

— Proś do salonu — i daj mi z szafy szafirowy tea gown.

Niestety, o 16 p. Zbączkowski musi odejść.

— Moja ty „Klusko" kochana.

„Kluseczka" powtarza, jakby ze zdziwieniem radosnem:

— Nie odchodź! nie zostawiaj mnie samej.

— Muszę, najdroższa, jak żonę i dzieci kocham — ale może spotkamy się na „fifie" u Paragwajczyków.



— Doskonale.

— Tak, — doskonale, ale znów trzeba się przebierać. Tym razem namysł będzie krótki; włoży suknię wełnianą i kapelusik ze strusiego „matelassé" (a trzeba być bardzo ładną, żeby „Ewa" pękła; godz. 17 powrót do domu, godz. 18 kolacja, o godz. 20-ej bal.



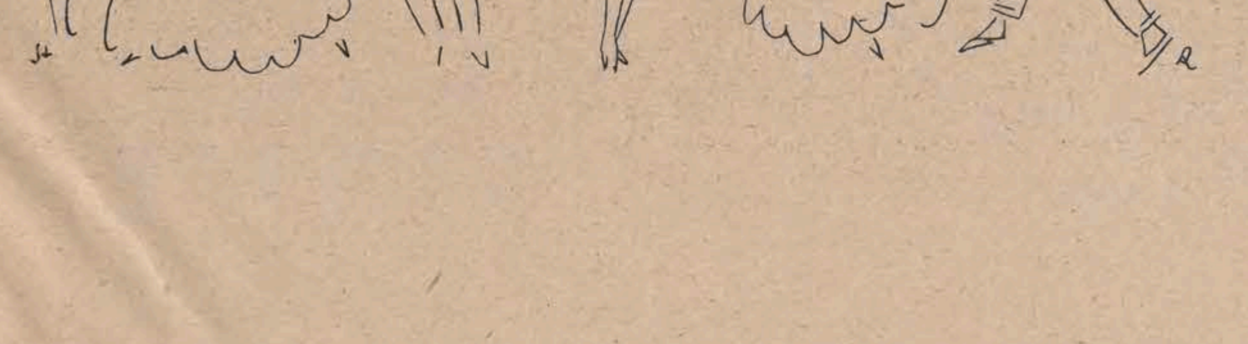
Na bal elegantka nasza kładzie krynolinkę czerwoną, a rękę ubiera w jedno olbrzymie strusie pióro zamiast wachlarza, słyszała bowiem, że jest to teraz najmodniejsze, do tego stopnia, że na lato, nad morzem, ma być modne strusie pióro i dużo dobrych chęci, zamiast niepotrzebnych szmatek. Strój ten będzie się nazywał „A la Królowa Niam-niam".

O godz. 4 z rana wraca biedna męczennica do domu. Na tę godzinę, tak spóźnioną wobec innych godzin, najstosowniejszym strojem jest skromny szlafroczek batystowy w niebieskie łzy i oczka. O godz. 5 rano nakłada śliczną koszulkę nocną z różowej illuzji, ciesząc się, że spokojnie będzie spać do 12-ej. — Lecz komuż się nie zdarzy obudzić w nocy. Nasza elegantka rozgląda się po pokoju, czy aby co nie straszy i dostrzega na kanapie sporą paczkę. — „Ach, to pewnie przysłali tę nową suknię od krawcowej, trzeba przymierzyć, bo jutro może być za późno.—Ach! co za prześliczna suknia z zielonego „crêpe georgette" z prawdziwym egipskim tyłem". Ale jak się zapewne domyślasz, piękna czytelniczko, twoja rówieśniczka była tak zmęczona, że zasnęła w nowej sukni na kanapce. Godz. 7 rano, przebudzenie. Co pomyśli mąż — o tej godzinie w sukni balowej! Trzeba ją prędko zdjąć i włożyć ciepłą pyjamę, bo zimno nad ranem i ponad szyją. — O 10 rano jest tak wyczerpana, że musi uciekać się (zresztą wolno, bo ledwo chodzi) do pomocy morfiny. O 11-ej nakłada koszulkę śmiertelną, z lila „pongé" z czarnemi mereżkami i lila czepeczek z czarnemi wstążkami. Pamięta przytem, że taka koszulka nie powinna być zanadto wycięta, ponieważ kobieta elegancka ma wrodzony takt stroju — i powinna odczuć, że nastrój nie jest odpowiedni do figlów i dekoltów. — Może się pokropić zlekka perfumami „Cadavera Violetta", tylko nie zanadto, bo kichanie rodziny popsułoby poważny, pełen dystynkcji nastrój.



Nieco czarnego ołówka, użytego na brwi i pod oczami na znak żałoby, będzie w bardzo dobrym tonie.

MAGDALENA SAMOZWANIEC



PANIE ZE SREBRNEJ RÓŻY

Chcąc pokazać zamożność domu, Teatr Wielki zamienił „Kawalera srebrnej róży" na popis śpiewaczek.

Najbardziej stylowa z oper wraca na scenę raz po raz, ale zawsze kto inny nosi te piękne szatki z czasów Marji Teresy. Najpierw partja księżny a potem rola kawalera — jest dublowana. Więc o czterech primadonnach należałoby mówić.

Wolno jednakże skrócić sobie tę pracę skomplikowaną takiem uproszczeniem: żadna nie jest doskonała. Albo też formułą podobną, lecz brzmiącą nie tak maksymalistycznie: żadna nie jest zła.

O pani Zboińskiej-Ruszkowskiej należy zawsze mówić z respektem. Jest księżną urodzoną, zarówno w tem znaczeniu, że posiada dystynkcję arystokratki, jak i w tem, że posiada pięknego chłopca do pieszczoty. Jej śpiew ma cechę najszlachetniejszej szkoły europejskiej, aczkolwiek sam głos nieraz zlekka pokrywa się patyną. Patyną głosu jest jego pewna białość, która górnym dźwiękom odbiera soczystość, a nawet i absolutną czystość.

Ilekroć p. Zboińska ma wielką arję, można być pewnym, że będzie wielką śpiewaczką quand même. Lecz ilekroć ma kreować kobietę jeszcze bardzo romantyczną lub zgoła młodą, można być pewnym, że jej się to uda nie całkiem. To trudno: nie zawsze wielki styl idzie w parze z wielką świeżością. Księżna w „Kawalerze" powinna się koniecznie starać o to, — na cóż są cuda charakterystyki?—ażeby uroczy Oktawjan czynił wrażenie bądź co bądź trochę przywiązanego do niej zmysłami, a nietylko dobrym apetytem i pragnieniem wygodnego życia.

Jej zastępczyni, p. Mokrzycka, czyni ów stosunek miłosny wielkiej pani i słodkiego gaszka znacznie więcej prawdopodobnym, ale cóż, kiedy sama wielką panią nie jest. Jest może gazellą lub odaliską, może wreszcie Sulamitką lub Hagithą, ale jej drzewo rodowe korzeni się na nizinach.



Fot. Malarski

HALINA LESKA
w roli Oktawjana, „Kawaler Srebrnej Róży"

A przytem — p. Mokrzycka robi dużo, stanowczo za dużo, żeby urok pieszczotliwy swego głosu i uwodzącą miękkość swego śpiewu osłabiać przez zupełne zaniedbywanie intrepretacji; jest to zawsze tylko pieśń bez słów — artystka ta bowiem posiada wybitny kunszt tajenia wyrazów. Ale pieśń bez słów może być jeszcze wyrazistsza niż ze słowami — jeśli tchnie duszą, namiętnością, mocnym akcentem — tego zaś, o czysto biernej, bladej wymowie p. Mokrzyckiej powiedzieć nie można. W jej opracowaniu księżna — i tak bardzo nie kocha i tak bardzo nie boleje, gdy swego młodego kochanka utracić musi.

Daleko mniejszy kontrast zachodzi między paniami, które realizują mozartowską reminiscencję w figurze cherubinowej — cherubin to za młodu już upadły w sypialni książęcej — Oktawjana.

P. Gołkowska rywalizuje z panią Leską. Każda z nich umie być mężczyzną i kobietą. Obie jednakowo wdzięcznie grają młodego faworyta i obie jednako dają się porwać piękności Zofji. Przepraszam: Gołkowska gorzej symuluje na scenie chłopca, w pierwszym akcie jest to raczej hermafrodyta. Tu grzeszy górna połowa postaci — dziwnie nieustatkowana. U p. Leskiej błąd tkwi w całkiem dolnej części — mianowicie w nogach: ilekroć są one w cholewach, nie są w żywiole swoim. P. Leska nie nadaje się na muszkietera.

Ale śpiewają obie mezzosopranistki bez zarzutu. P. Gołkowska przez czas jakiś pozwalała nam zapominać, jak znakomitą ongi, pełnogłosą była Carmeną, ale teraz, na szczęście, wracają jej głosowi rumieńce, choć nieraz odzywa się ta dziwna u śpiewaczki rutynowanej i wesołej — nieśmiałość w prowadzeniu linji melodji. Leska zaś każe zupełnie zapomnieć o pierwszym swym występie, kiedy to jej Amneris była tak cicha i wątła, że się o jej przyszłość obawę miało.

Porównanie należałoby oprzeć właściwie głównie na owej scenie, a raczej momencie jednym aktu drugiego, kiedy Oktawjan po raz pierwszy ujrzał Zofję i doręcza jej srebrną różę. Jest to scena niema. Gołkowska prześlicznie wyraża twarzą i oczyma stan nagłego oczarowania, Leska czyni to inaczej, bez tak subtelnej gradacji wyrazu — ale bardzo inteligentnie. Tamtej siłą jest więcej intuicja, tej—świadome obmyślenie gry i — zresztą wogóle praca, która wydaje swój owoc w rosnącym wciąż głosie.

Jakiem prawem — spyta teraz czytelnik — rzekło się na wstępie, że żadna z wymienionych śpiewaczek nie była doskonała? Komedja muzyczna Ryszarda Straussa wymaga jeszcze większego nakładu obmyślenia i opracowania, żeby była naprawdę komedją, żeby ze słodką i nad wyraz dowcipną muzyką szedł w parze dowcip akcji, czar gry i zręczność wysłowień, gestów i póz.

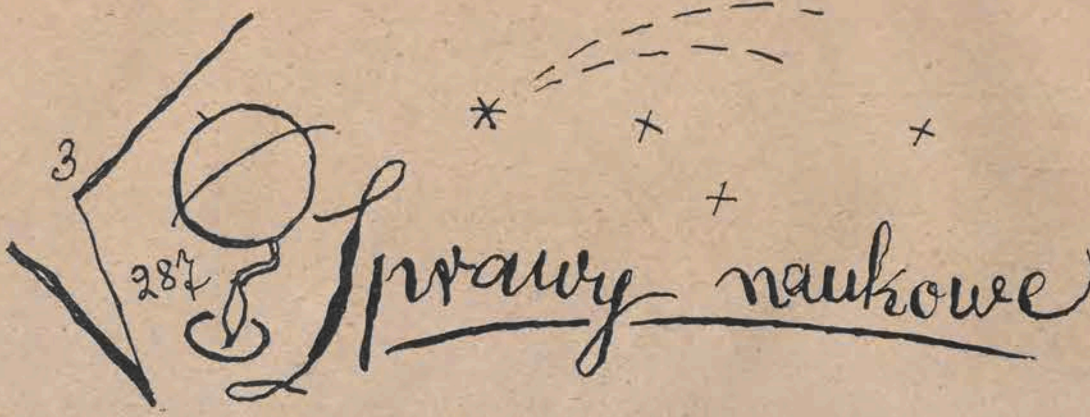
Jak dotąd bowiem, pyszna tkanina muzyczna „Kawalera z różą" unosi się ciągle jeszcze wysoko ponad głowami solistów, całkiem niedosiężona, zamiast być tym kobiercem, po którymby oni stąpali...

CEZARY JELLENTA



Wiosna rozwiera piękna podwoje;
Buduar także ma prawa swoje.

Rys. St. Rzecki



Wracaliśmy późnym wieczorem przez Krakowskie Przedmieście. Mikołaj Kopernik — ze względu na uroczystości urodzinowe — był oświetlony rzęsiście i wywarł tym razem ogromnie korzystne wrażenie na pannie Lili, która też odrazu zasypała mnie gradem pytań. Co właściwie astronom toruński zrobił, co trzyma w ręku, czy to prawda, że ziemia kręci się jak fryga, dlaczego to ma być takie strasznie ważne, kto zamieszkuje teraz Wielką Niedźwiedzicę i w co się ubierają latem mieszkańcy planety Wenus?

Miałem na ten kwestjonarjusz odpowiedzieć ściśle, zwięźle, jasno i rzeczowo, nim dojdziemy do Wareckiej. Zacząłem oczywiście od Hiparcha, ale już przy Świętokrzyskiej panna Lili wytrąciła mnie z równowagi:

— Nie wierzę w jakieś obroty ziemi. Niech tam dzieciom w szkołach takie rzeczy opowiadają. Niktby się przy podobnych piruetach nie mógł utrzymać na nogach, ludzieby spadali, jak gruszki z drzewa. Wicher byłby szalony i przeciąg w każdem mieszkaniu...

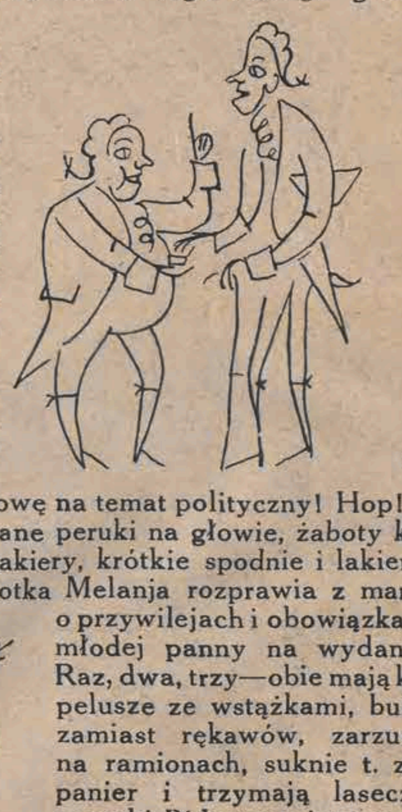


W toku dalszej rozmowy wyszło też na jaw, że panna Lili nie wierzy wcale w istnienie linij równoległych i stanowczo odrzuca twierdzenie Pytagorasa tudzież całą prawie geometrję Euklidesa. W naukach ścisłych uznaje jedynie doświadczenia z Eusapją Palladino, za fakt stwierdzony eksperymentalnie uważa tylko wirowanie stolików pod wpływem siły magnetycznej, przesyłanie myśli na odległość oraz przenikanie materji przez dziurkę od klucza.

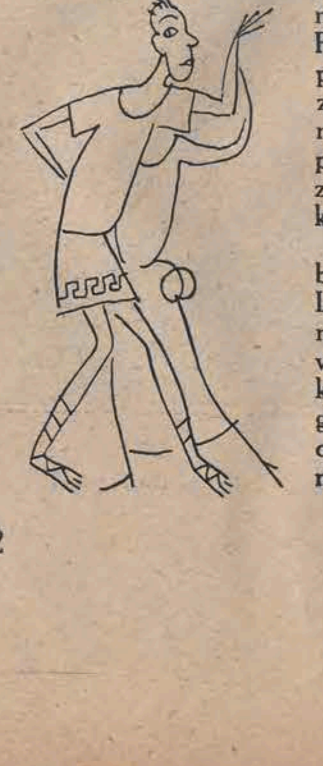
— Panno Lili — rzekłem oszołomiony na Placu Napoleona — jedna rzecz mnie zastanawia. Ma pani na sobie suknię jedwabną ze szpongami — dernière création Zmigryder 1923 — ale kiedy pani mówi o sprawach astronomicznych, zamykam oczy i zdaje mi się, że to przemawia Melanchton albo wogóle osoba z wieku XV. W tem miejscu powinna pani mieć na sobie raczej szatę powłóczystą z trenem wielołokciowym, który dźwigają za panią w pocie czoła cztery służebnice. Na głowie kołpak wysoki, wyszywany perłami, dalej — staniczek adamaszkowy, suknia z twardego bławatu dzierganego François I-er (Larousse, mała encyklopedja, str. 230)...

Tym pomysłem zdobyłem sobie widocznie jej względy.

— Nareszcie pan mówi do rzeczy. W modzie dzisiejszej najbardziej mnie to razi, że wszyscy nakładają jakiś uniform i wszyscy są raptem z jednego stulecia, jak uczniowie tego samego gimnazjum i z tej samej klasy. Wyglądamy przez to jak książki z taniej wypożyczalni publicznej. O ileż świat byłby zabawniejszy, gdyby człowiek mógł się przebierać niczem Fregoli i dostosowywał własną okładkę do treści.



Wuj Amilkar przychodzi np. w niedzielę z wizytą i rozpoczyna z papą długą rozmowę na temat polityczny! Hop! — obaj mają pudrowane peruki na głowie, żaboty koronkowe, złote tabakiery, krótkie spodnie i lakierowane pantofle. Ciotka Melanja rozprawia z mamą o przywilejach i obowiązkach młodej panny na wydaniu. Raz, dwa, trzy — obie mają kapelusze ze wstążkami, bufki zamiast rękawów, zarzutki na ramionach, suknie t. zw. panier i trzymają laseczki z epoki Bidertetmajera w rękach.



A jakby się ożywiły zebrania towarzyskie! Młody Lolo Pobrykalski tańczy ze mną shimmy, odziany, jak zawsze, w nieskazitelny smoking i lakiery *up to date*. Nagle zaczyna mi coś mówić o swoich uczuciach — patrzymy — ależ to grek starożytny

przytupuje sandałami i barwnym chitonem miga w powietrzu...

Poczciwy Kocio opowiada anegdoty: podczas pierwszej wygląda jeszcze jak europejczyk (epoka — mniej więcej Ludwik Szesnasty), ale już drugi żart zamienia go na osobistość o cerze smagłej i profilu ostrym — fartuszek z przodu, Faraon drugiej dynastji, Tut-ankh-amon! Podczas trzeciej dykteryjki widzimy — jak na seansie — zamiast eleganckiego Kocia, na tym samym pufie!... starą Kownacką i pastuszka biblijnego... Co się zaś tyczy rozmaitych autorów dramatycznych i feljetonistów...

Tu zmieniłem co prędzej temat rozmowy. Jeszczeby nas podsłuchał p. komisarz rządu i reformę uroczej Lili rozplakatował na murach, jako rozporządzenie obowiązujące! Człowiek musiałby latać od rana prawie nago, przepasany na lędźwiach skórką niedźwiedzia, i rąbać w „Astorji" sznycel toporkiem z epoki kamienia łupanego.

BRUNO WINAWER



BALLADY IMION

BALLADA WSTĘPNA

Klara. Euzebja. Orseola. Ina.
Frasquita. Selma. Beatrycze. Bona.
Ludgarda. Agnes. Violet. Balladyna.
Io. Biankofiore. Taida. Aldona.

Liliana. Marta. Eufrazja. Grażyna.
Astarte. Hedda. Drahomira. Glorja.
Deborah. Kora. Delfina. Marjorja.
Gizella. Myrrah. Manefa. Gryfina...

Hero. Gryzelda. Ofelja. Anoe.
Lukrecja. Safo. Teofanu. Chloe.
Edyta. Hulda. Cerlina. Irena.

Miranda. Inez. Medżisa. Odarka.
Lu. Melissanda. Elida. Malena.
Sakatonwizen... Uirko... Cymbarka...

LILITH

Cichy o marmur sandału zgrzyt,
Kadzidła welon i ambry woń.
Drży w siny płomień świecznika dłoń,
Idzie Lilith... idzie Lilith...

O serce moje zgłodniałe, cyt!
To płatków kwietnych opada rój,
To kadzidlany ściele się zwój,
Idzie Lilith... idzie Lilith...

To wschodni śni się duszy mej myt,
To płacze tęskny i zwiędły kwiat.
O czarny marmur sandału zgrzyt,

Kroki tajemnic i szepty zdrad.
Rodzi się wonny i słodki byt,
Idzie Lilith... idzie Lilith...



CATHARINA

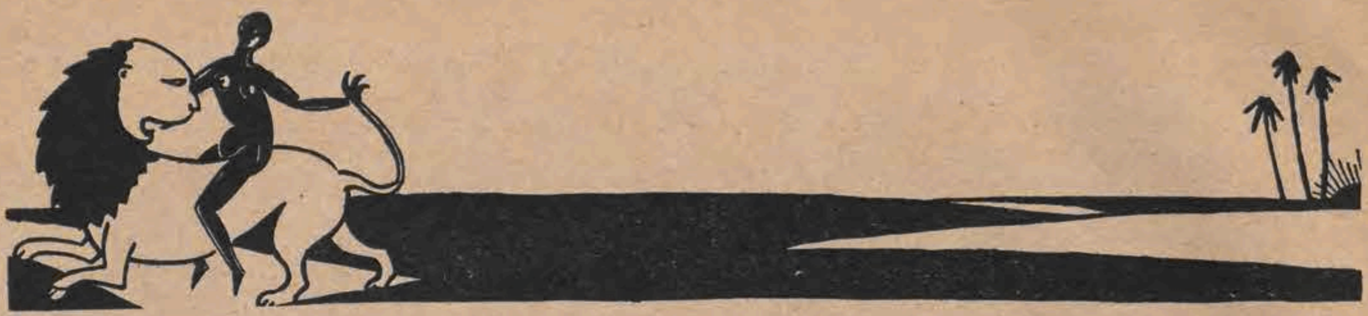
Czarny aksamit w perłach, jak w łzach,
Sprzączka z rubinem płaszcz czarny zapina,
Sztylet ma w ręku, a w źrenicach strach:
Idzie krużgankiem Donna Catharina.

W mroku olbrzymi pogrążył się gmach:
Budzić go echo jej kroków zaczyna.
W tajemnych nocą przerażona snach
Idzie krużgankiem Donna Catharina.

Czyhają w salach rzędy czarnych nisz.
Lamp pogaszonych rozwiewa się woń.
Sztylet lodowy ściska blada dłoń.

Krok mąci akord dawno zmarłych cisz,
Perła z rubinem płaszcz czarny zapina
Dokąd tak idzie Donna Catharina?

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ



PIEDESTAŁ KOBIETY

Zaprosiła mnie „Pani“ do wypowiedzenia kilku uwag z powodu dziesięciolecia Teatru Polskiego. Rozumiem że w tych uwagach pragnęłaby „Pani“ usłyszeć nie to samo, coby naprzykład pragnął usłyszeć pan; zwłaszcza pan dyletant w zakresie literatury i sztuki, tak zwany cywilny znawca, który „dużo widział“ (oczywiście, premjer), amator-esteta, amator-psycholog, amator-filozof, że tak powiem: prywatny fachowiec, duża powaga w małem kółku znajomych, uczony bez dowodów, t.j. bez dzieł własnych. Odgaduję, że „Pani“ stawia mi cokolwiek inne wymagania. Dziesięciolecie teatru dyr. Szyfmana każda warszawianka zna wybornie, ponieważ ten teatr, dziś podwójny (Teatr Polski, Teatr Mały), to ulubiony jej teatr. Do innych warszawskich teatrów idzie się na niepewne: tutaj nigdy spektatora nie spotkał zawód: jeżeli sztuka trafiła się nie nadzwyczajna, to zato była wyśmienicie grana; jeżeli była nie mistrzowsko grana (och, niezmiernie rzadko!) to przynajmniej olśniewała dekoracjami i kostjumami, aktorzy zawsze umieli role, scena nigdy nie zdradzała najlżejszego zaniedbania, słowem teatr młodego jubilata, zaledwie czterdziestoletniego (od urodzenia), był od pierwszej chwili — poprzez całą dekadę lat do dnia dzisiejszego, naprawdę poważną instytucją artystyczną, której dzieła wielokrotnie wprawiały nas w zachwyt. Dyr. Szyfman rozpoczął swą teatralną działalność sztuką tak djabelnie (pardon!) namaszczoną, jak „Irydjon“ Krasińskiego, dramat książkowy, pisany bez myśli o scenie, i przecież zwyciężył nierozteatrowaną, zaiste, bezpańskwową naówczas, stolicę naszą, bowiem zaklął niescenicz-ność „Irydjona“ w tak oszołomiające wizje malarskie Karola Frycza, że oko widowni kąpało się w nowych wciąż rozkoszach malarskich, gdy przymykało się, nieco znużone, jej ucho. Pierwsze przedstawienie trwało do godziny prawie drugiej po północy. Piękne panie w cudnych balowych szatach, zdobnych w niewymownie powabne dekoltaże, nie opuszczały lóż i partertu do ostatniego spadnięcia kurtyny. Ich oczy rzucały na scenę blask gorącego podziwu, blask promienniejszy, niżeli ognie ich djademów, brylantowych kolczyków, brosz, pierścieni. Nie „Irydjon“ je z pewnością porwał, ale młody, nieznany Warszawie, aktor, grający Irydjona, p. Józef Węgrzyn, o wielkich oczach jak czarne otchłanie, o spiżowym głosie, o wulkanicznym temperamencie, i ta pełna niebywałego przepychu bajka malarska p. Karola Frycza, innemi słowy, porwał je: Teatr! Bowiem „Irydjon“ nie jest monumentalnym dramatem; jest monumentalną powieścią, czyli czemś niestosownem dla sceny, a przecież tę niestosowność, czyli niesceniczność, umiał Teatr Polski przezwyciężyć! Potęga teatralności nowego teatru przemówiła z jego pierwszego przedstawienia tak wymownie, że na ten temat nie mogło być już dyskusji. Odtąd ta teatralność przejawiła się w stu siedemdziesięciu premjerach i zawsze z niepospolitą siłą. W wspaniałej książce pamiątkowej Teatru Polskiego, znajduje się tablica statystyczna, która jasno wykazuje ile uwagi poświęcił dyr. Szyfman twórczości dramatycznej różnych narodów. Otóż największą ilość premjer notuje rubryka polska. Klasyczny repertuar polski miał dwadzieścia osiem premjer i siedemset osiem przedstawień; współczesny repertuar polski wykazuje pięćdziesiąt trzy premjery i osiemset dziewięćdziesiąt pięć przedstawień; czyli razem najrdzenniej polskich przedstawień odbyło się tysiąc sześćset trzy. Klasyczny repertuar obcy miał dwadzieścia cztery premjery i sześćset cztery przedstawienia. Współczesny repertuar zagraniczny reprezentuje trzydzieści premjer francuskich, cztery premiery włoskie, dziewiętnaście angielskich, cztery niemieckie, jedną skandynawską, cztery rosyjskie i trzy węgierskie. Któraż istotna warszawianka nie widziała przynajmniej trzech czwartych tego bogatego repertuaru, starającego się przemówić do jej uczuć nietylko słowami najwybitniejszych dramaturgów europejskich i wielko-brytyjskich, ale i świetną fantazją kolorystyczną takich artystów, jak pp. Frycz, Drabik, Rzecki! Jeżeli nie wszystkie panie przychodziły dla poety, to niewątpliwie wszystkie zjawiały się, aby zobaczyć, co to jest nieomylnie z wykwitnym smakiem urządzone mieszkanie: na jakich kanapach teraz modnie jest flirtować, jakie powinny być lampy i jak rozstawione, jakie story, jakie obicia ścienne, no i, oczywiście na tych dywanach, pośród tych luster, foteli, cacek, jakie: toalety.

„Teatr jest piedestałem kobiety“ — powiedział Stendhal. Dlatego kobiety tak naturalnie pragną być na scenie. Zaiste, kobieta na scenie jest poddanym powszechnemu uwielbieniu, swoim własnym żywym pomnikiem. Szekspir, czy Fredro, Przybyszewski, czy Rittner, wlewają w nią nektar poezji; Frycz, Bakst, czy Drabik dają jej cudne tło i genjalny strój, którym ją czarownie ubierają, albo z przepychem rozbierają; reżyser czuwa, aby każde jej poruszenie było efektem; elektrotechnik tak rozkłada światła, aby ona przyciągała ku sobie wszystkie spojrzenia! Gdzież indziej kobieta bardziej jest pieszczona, i to tylko na to, aby była... podziwiana?! Poeci, malarze, wszelkiego rodzaju artyści, oddają jej swoje talenty, aby ich czarowała! Oddajemy ci nasze złoto — zdają się oni mówić — ale wzamian za to musisz nam sprawić jedną wielką rozkosz: bądź bo-

gata! To też niema kobiety, któraby bodaj jeden raz w życiu nie zapragnęła dla siebie sceny. Niema kobiety, któraby nie zapragnęła stanąć na tym najwspanialszym cokole, opływanym przez szumiący ocean adoracji.

Ale wszystkie kobiety świata nie mogą się zmieścić na piedestale nieśmiertelnego Beyle'a. Nie-każda kobieta ma talent aktorski, choć każda pragnie być uwielbiana. Wszystkie przecież zmieszczą się na widowni teatralnej, skąd uczą się od artystek uśmiechu, łez, spojrzeń, ruchów, sposobu mówienia, sposobu milczenia, uczą się krytycznie, zapatrzone w znakomitości sceniczne z jedną tylko myślą: jak ona to robi? jabym to zrobiła raczej ot, tak! za często szczerzy zęby! ślicznie siada! zbyt wyniośle trzyma głowę! co za wdzięk w podawaniu rączki! etc. etc. etc. Oczywiście, prawdziwa kobieta nie poprzestaje wyłącznie na chwytaniu tylko osobliwości wdzięcznego gestu danej dramatystki, lub modulacji jej głosu przy wymawianiu wyrazów: „Nie, nie, panie Ferdynandzie, lepiej będzie, gdy odejdę..! Prawdziwa kobieta studjuje w teatrze duszę kobiecą, najniespodziewańsze możliwości tej duszy, powab psychicznych jej wygięć, liryzm, patos, energję, subtelność, czar rumianego zdrowia i uwodzicielskość chorowitości, upartą wolę i wężową kapryśność, co piękniejsze, co rozkoszniejsze, w czem bardziej mi do twarzy, czemu jestem bliższa, do jakiej roli jestem stworzona na bezrampowej scenie świata, i jak tę rolę należy grać, żeby najmocniej wzruszyć, najpotężniej porwać i odchodzić za kulisy z oklaskami.

Kobieta idzie do teatru, aby poznać siebie. Zagłębiona w fotelu, patrzy na bohaterkę dramatu i myśli: „Teraz palnęła głupstwo, należało być mniej nieprzejednaną" — lub: „Jabym się tu była rozpłakała i wszystkobym zepsuła"; kobieta w teatrze nietylko studjuje charaktery kobiece, ona wyrabia, ćwiczy swój własny charakter, ponieważ każdy odruch bohaterki scenicznej przymierza natychmiast do siebie.

W ciągu dziesięciolecia teatru Polskiego, ileż to tajemnic duszy kobiecej przekazały kobietom takie mistrzynie sztuki, jak p. Przybyłko - Potocka, Ćwiklińska, Solska-Grosserowa, Gryficz-Mielewska, przedwcześnie zgasła Mary Mrozińska! Jakże rozmaicie przez każdą z nich mówi namiętność!



Nauczyły one widownię, że wyraz *kocham* tak jest liczny, tak niepodobny wciąż do siebie, że wypełniłby petitem gruby słownik, gdyby można go było rozmaicie drukować według każdorazowego brzmienia jego uczuciowej treści. Wpatrzona w te wielkie gwiazdy, publiczność niewieścia (zresztą, nietylko niewieścia) poznawała niebo zachwycających migotań psychicznych. Gwiazdy krążyły po różnych orbitach: po wielkiej orbicie Szekspira i małej Garricka, po orbicie Goldoniego, Becque'a, Krasińskiego, Wyspiańskiego, de Flers'a, Krzywoszewskiego, Kiedrzyńskiego, Shaw'a, Wilde'a, Ibsena, Savoira, Bracco, Fijałkowskiego, Jeroma... trudno wyliczyć wszystkie obroty, w których jaśniały znakomite talenty nazwanych dopiero co dramatystek. Z każdą z nich każda pani z widowni stawała, mocą swojej wyobraźni, na piedestale kobiety przez te pierwsze dziesięć lat Szyfmanowskiego teatru. Więc warszawianki obchodziły w jubileuszu Teatru Polskiego jubileusz swojej akademji, gdzie nieoficjalnie wchłaniały rozkoszną wiedzę o sobie.

Teatr był przepełniony, dyr. Szyfman zarzucony wieńcami, podarkami, mowami, owacyjnemi oklaskami, atmosfera niewymuszonego, najszczerszego uznania dla twórcy i kierownika tej najświetniejszej dziś w Polsce instytucji artystycznej panowała na sali i na scenie.

Odegrano „Pana Jowialskiego" Fredry. W zachwycającem słońcu skąpali tę komedję pp. Frycz, Stanisławski, Czaplińska, Majdrowiczówna, Leszczyński, Zelwerowicz, Słubicka, Samborski i Maszyński.

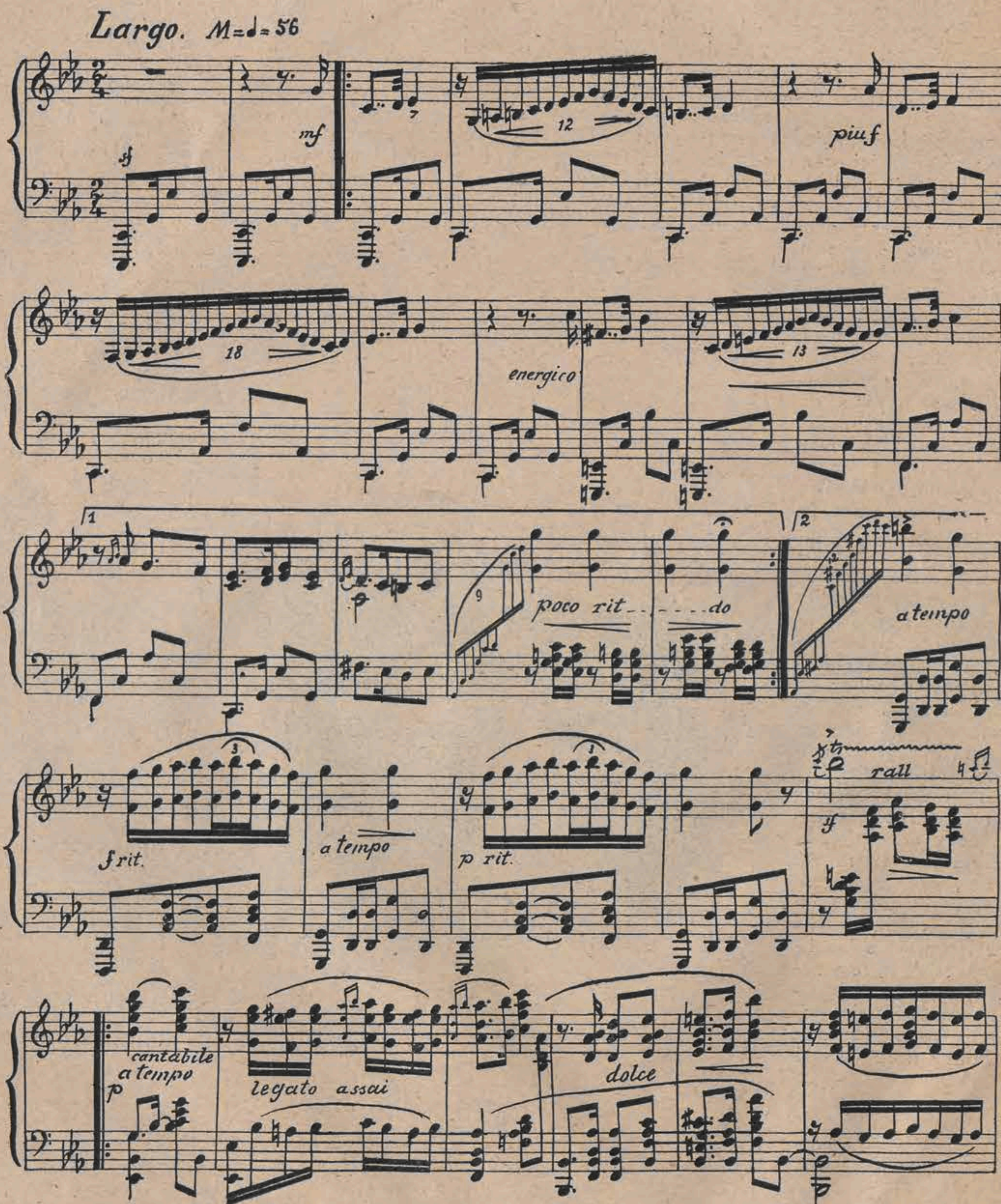
WACŁAW GRUBIŃSKI



TANIEC GITANY

PROFESOROWI LUCJANOWI MARCZEWSKIEMU

KAROL SZUSTER




cresc.
poco a poco
piu f
8 basso
rall.
rall. cantabile
ppp
8 basso
rall
rall.
piu p.
a tempo
pp
rall.

TOALETA NA SCENIE

Sensacyjny tytuł „Szkoły Kokot" przyciągnął na premjerę licznych przedstawicieli płci obojga. Panowie oczekiwali drastycznych scen i obnażonych ciał, panie poglądowych wskazówek, jak się mężczyzn uwodzi.

Spotkał ich jednak srogi zawód: ani jednego łóżka na scenie, ani jednej obnażonej damy, ani jednej drastycznej sytuacji.

Zamiast tego dowcip pierwszorzędny, djalog błoskotliwy i wytworna artystka, która ten djalog po mistrzowsku prowadzi. Trzy wcielenia Ginetty odtworzyła p. Ćwiklińska z wdziękiem i kunsztem aktorskim niebywałym, a każde z nich przybrane w szatkę, odpowiednią do sytuacji i otoczenia. Suknie, podkreślające każde z tych przedzierzgnięć, grały w danym wypadku razem z artystką samą, podkreślając coraz wyższy stopień karjery bohaterki w hierarchji społecznej.

Na scenach europejskich miała p. Ćwiklińska aż trzy wielkie poprzedniczki: w Paryżu Jane Marnac i Spinelly, (które kolejno w dwóch teatrach grały tę sztukę z wielkiem powodzeniem przez dwa lata) i Konstantin w Berlinie i Wiedniu. Każda z nich stworzyła kokotę innego typu, zależnie od temperamentu narodowego i środowiska: Konstantin była w ostatnim akcie liryczna i płaczliwa, jak na prawdziwą niemkę przystało. Spinelly w pierwszym krzykliwa i wulgarna, jak paryska „gosse rosse". W pierwszym akcie, ubrana w kaftan od pyjamy bez spodni, przyjmowała Spinelly hr. de Feronière, siedząc na krześle, oparta nogami, obnażonemi do lędźwi, o stół, i gryzła jabłko, plując pestkami pod nogi przybyłego gościa.

Na warszawskiej scenie byłoby to niedopuszczalne, to też po jeneralnej próbie areopag sędziów orzekł, że p. Ćwiklińska musi... wdziać spodnie.

Pomimo to akt pierwszy nie ucierpiał na tem wcale i pyjama p. Ćwiklińskiej, choć mniej drastyczna od paryskiej, była jednak pełna uroku.

W akcie drugim, stosownie do wyższego stopnia karjery, zjawia się Ginetta już nie w pyjamie ale w sukni domowej z popielatej georgetty ze spódniczką z koronki wełnianej tegoż koloru na spodzie czerwonym. Suknia ta korzystnie uwydatnia wiotką linję p. Ćwiklińskiej i zaznacza wyrobienie smaku bohaterki, podkreślając pewną dozę przesady w ruchach, fryzurze i ubraniu.

W akcie trzecim widzimy dawną Ginetkę z Montmartru przeobrażoną w Ginewrę Forlandi, damę salonową bez zarzutu, przyjmującą gości we własnym pałacu. Jest ona królową mody, dyktatorką paryskiego półświatka, czy też nawet całego świata, który się bawi i stroi.

Suknia z georgetty, gris cendre, dół z popielatej wełnianej koronki przetykanej srebrem, podbicie z georgetty brique.



Fot. St. Brzozowski

Zbiegają się do niej reporterzy po wywiady i fotografowie, aby ogłosić Paryżowi, jak była ubrana Ginewra Forlandi na vernissage'u, co nosi w domu, co kładzie, kiedy się wybiera na obiad z ministrem i t. d. Sprostać takim [obowiązkom toaletowym nie było łatwo, jednakże p. Ćwiklińska zwyciężyła na całej linji.

Kiedy wchodzi na początku aktu w kostjumie z velour chiffonu koloru chaudron, przybranym szenszylami i haftem srebrnym, z półdługą peleryną tegoż koloru, szmer powstaje na sali i nikt nie wątpi, że jest to królowa mody tego sezonu.

Przebrana zaraz potem w tea gown z różowego crêpe de chine'u z narzuceniem z prawdziwej koronki, zmienia artystka jednocześnie i charakter postaci: z wystawionego wiecznie na pokaz manekinu przeistacza się w przytulną, smutną kobietkę, która tęskni za miłością prawdziwą i gotowa nawet rzucić te wszystkie błyskotki, dla dawnej skromnej sukienki zielonej z pierwszego aktu.

Ale wzywa ją obowiązek społeczny; słowa hr. de la Feronière budzą w niej na nowo pragnienia sławy i triumfów, nakłada na siebie wspaniałą toaletę ze złotego tiulu, haftowaną w wielkie renesansowe desenie, płaszcz gronostajowy, i idzie w świat ze smętną duszą nieść dalej swoje posłannictwo.

Akt ten, pod względem toaletowym niezwykle trudny, odegrała p. Ćwiklińska po mistrzowsku, konkurując pod względem szybkości w przebieraniu się ze znanymi transformistami w rodzaju Fregolli lub Bernardiego.

Pisząc o toalecie na scenie trudno pominąć p. Niewiarowską w operetce „Czarne Róże". Jej krynolina z drugiego aktu, cała z piór różowych i wstążek, choć zapożyczona z paryskiego revue, robi sensacyjne wrażenie i budzi ogólny zachwyt, również jak pomysł fosforyzowanych części tego kostjumu, lśniących w ciemnościach.

HEL. ZMIG.

TEATR MAŁY: FINAŁ AKTU III-go *„SZKOŁA KOKOT"*



Fot. St. Brzozowski

MIECZYSŁAWA ĆWIKLIŃSKA

W ROLI GINETTY *„SZKOŁA KOKOT"*

TEATR MAŁY

Toalety z pracowni Gustawa Zmigrydera.
Kapelusze i przybrania głowy — „Chapeau de Luxe".
Obuwie — Lucjan Leszczyński.



Fot. L. Forbert

Toaleta ze złotego tiulu z haftem renesansowym tegoż koloru na spodzie vieil or; pas z aksamitu fraise, nasadzany zielonemi cabochon'ami



Fot. L. Forbert

Negliż z plisowanego crèpe de chine'u koloru saumon, pelerynka z prawdziwej koronki.



Fot. St. Brzozowski

Pyjama z fularu w desenie barwne, spodnie z czarnego liberty



Fot. L. Forbert

Kostjum z velour-chiffonu koloru chaudron przybrany szenszylami i haftem popielatym ze srebrem, peleryna podbita popielatą georgettą.



Fot. L. Forbert

NAUKI WĘŻA MĄDREGO

Rys. S. Rzeckiego

Pani siedziała przed zwierciadłem i przyglądała się, jak z oczu jej kapią kryształowe paciorki łez.

Była smutna, oddawna bowiem chciała mieć suknię ze złotej lamy i futro z prawdziwych fok.

Po prawicy jej stał Anioł-Stróż. Mówił jej o liljach polnych, które się nie stroją, ani ubierają, a piękne są; (cóż z tego, kiedy o tem nie wiedzą, pomyślała Pani); mówił jej o ptakach niebieskich.

— Lilje polne i święci tureccy! — oburzyła się Pani. — Znowuż jakieś wstrętne powojenne teorje drożyźniane! To są wymysły ministra skarbu, a nie pienia anielskie.

Ptaki niebieskie! Wolałabym już być foką, niż ptakiem niebieskim! Oczywiście prawdziwą, niefałszowaną! Ta przynajmniej ma futro!

Anioł-Stróż zasmucił się wielce, że istota, stworzona na obraz i podobieństwo Boskie, pragnie być foką.

I za karę uczynił pragnieniom jej zadość.



Po prawicy jej stał Anioł-Stróż

Z radosnym rumieńcem spostrzegła Pani, że skóra jej matowa porasta lśniącem, czarnem futerkiem, tak cudnem, że samo dotknięcie jego jest pieszczotą. Serce jej zabiło uciechą, a przed oczami duszy stanęły wszystkie przyjaciółki, patrzące z zazdrości zezem lub z ukosa.

— Aniele-Stróżu mój — szepnęła Pani — pomóż mi zdjąć ten płaszcz, jest mi za gorąco z radości.

Ale nie można było zdjąć płaszcza, bo to było skaranie Boskie.

Polały się z oczu Pani strumienie łez tak, że wyglądała wkrótce jak foka, która wypłynęła ze słonych nurtów morskich.

— Ja nie chcę być foką — szlochała. Wtem świsnęło, grzmotnęło i stanął przed Panią Wąż-Prazmigryder.

— Zmiataj! — krzyknął Anioł-Stróż głosem wielkim i chwycił za miotłę. — Ona kaja się w skrusze. Kobieta, stworzona na obraz i podobieństwo człowieka, nie chce być foką.

— Za nic, za nic na świecie nie będę już foką — szeptała namiętnie Pani — za nic — bo małpy są modne!

Zasmucił się Anioł-Stróż, rzucił miotłę, bo nic już nie miał do roboty i odleciał jako ptak niebieski.

* * *

Za sprawą Węża Pani przybrała postać kobiety.

— Jestem jeszcze nieswoja — rzekła nieśmiało — nieswoja do nieswojego—lecz z kim mam przyjemność?...

— Jestem Prawąż.

— Z tych samych, co w raju?... — spytała Pani.

— Tak, z tych samych, z Kusicielów.

— Ach to znana, dobra rodzina — ucieszyła się Pani.

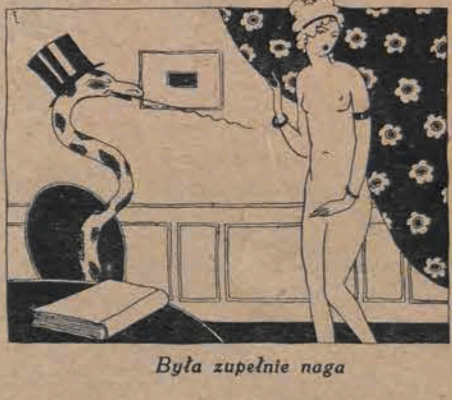
I pomyślała: no zobaczymy, kto kogo skusi — dzisiaj wszystko jest naopak.

— Przykro mi, że zastał mnie Pan w negliżu — rzekła zawstydzona (była otulona od stóp po uszy w grube fałdy draperji). Pan pozwoli, że włożę... une robe plus habitée... — To mówiąc zniknęła za portjerą, haftowaną w drobne amorki.

Wąż czekał, czekał, czekał; wreszcie znudziło mu się i zaczął pisać księgę.

Właśnie ukończył rozdział czterdziesty i czwarty; oprawił księgę w atłasową skórę pięknej Heleny (miał ją przy sobie), gdy ukazała się Pani.

Była zupełnie naga, tylko na czole i w kilku miejscach niewyemancypowanych miała złote przepaski. Wyglądała przy wężu jak obraz Wawrzenieckiego. Brakowało tylko narzędzi tortur — ale te były ukryte w duszy Węża.



Była zupełnie naga

— Bardzo jestem zawstydzona, że widział mnie Pan w negliżu — rzekła — ale jak się Panu mój strój podoba?

Wąż włożył okulary, bo był okularnikiem. Po chwili zawyrokował: — Strój pani jest bardzo pospolity, posiada go każda kobieta, bowiem nie jest kosztowny. Zresztą nie widzę w nim nic twórczego. Nazywam strojem to, co się zmienia, a nie to, czego niema. Odkąd Pani praszczurka zjadła pierwszy liść i ubrała się w pierwsze jabłko, ja — wąż, nauczyłem ją zmieniać skórę, a robi to ona szybciej niżli węże. Stworzyliśmy strój.

— Z siedmiu kolorów tęczy i z siedmiu grzechów śmiertelnych — szepnęła w rozmarzeniu Pani.

— A rozpoczęło się to od zdzierania skór z ssaków pokrewnych, niedźwiadków, rogaczy, małp.

— Wiem, wiem — przerwała pojętnie Pani — sama zdzierałam skórę z męża.

— I z innych odmian—ciągnął Kusiciel. — Pani to zupełnie dobrze odgadła, że istota stroju polega także na zmienności.

Ach nie jest to strój, jeżeli foka nosi foki, a małpa nosi małpy. Wtedy zaś, kiedy foka nosi małpy, a małpa foki, koza niedźwiadki, a niedźwiadek kozę — wtedy dopiero jest moment twórczy, który nazywamy strojem.



I ściskały ciało w żelaznych kleszczach gorsetów

W ten sposób kobieta zmienia przyrodę, co mówię, więcej, tworzy sama nowe dla siebie skóry, ubiera się we wszystkie uśmiechy barw i grymasy kształtów, stwarza własne swoje piękno.

— Powiedz mi, Wężu — przerwała Pani — czy jest ode mnie piękniejsza na świecie?

— Chcieć, to móc — odpowiedział Wąż, wykręcając ogon w kształt chińskiej litery.

— Impertynent — obraziła się Pani — a jeszcze z Kusicielów! Nie umie pan być poetą. Poeta mi powiedział, że jestem jak amfora, w której—niema nic—oprócz pragnienia być piękną.

— Nie obrażaj się, Pani — odparł Prawąż. — Jestem stary i niedowidzę. Zresztą w dzisiejszym wieku wywrotowym uwodziciele mówią impertynencje. Na przeprosiny dedykuję Ci księgę „Jak być piękną", nauki Węża Mądrego.

Nauki Węża Mądrego stare są jak świat i jak nadzieja — matka głupich, ale trzeba o nich pamiętać, dlatego zamieszczamy je w skrócie.

Nauka I. Chcieć — to móc. Nie to piękne, co piękne, lecz to, co jest dobrze zrobione.

Nauka II. Zaleca się perpetuum mobile — nigdy spoczynku. W załączniku mapka historyczna dekoltów w skali stuparowej (termin ten, dzisiaj przestarzały, nie oznacza 100 HP, lecz sto par balowych). Mapka ta wskazuje, jak w historji mody dekolt obraca się i krąży, nigdy nie ustalając się na jednem miejscu. Dekolt ustalony byłby chybiony. Ach, oczy przyzwyczaiłyby się doń, jak do tapety. I tak w miarę rozszerzania się połaci dekoltowanych i ich ustalania ludzkość zbytnioby się umoralniła.

Nauka III. Strzeż się, ażeby nie rozpoznano gdzie natura, a gdzie kultura (ukrywaj to przed okiem kobiety, bo mężczyzna i tak nie zrozumie).

Nic bowiem nie hańbi tak kobiety, jak twórczość. Wypieraj się w oczach mężczyzn prawa autorstwa własnej piękności.

Nauka IV. Ażeby być piękną, trzeba cierpieć.

Wiedziały już o tem prababki nasze, które przekłuwały sobie nosy, uszy, kaleczyły nogi. I ściskały ciało w żelaznych kleszczach gorsetów.

Dzisiaj nie trzeba już katuszy fizycznych. Piękność trzeba okupić cierpieniem moralnem.

Nauka V. A więc, żeby być kobietą piękną, trzeba wysłuchać filozofa najbrzydszego:



Ale skoro spojrzała w lustro żachnęła się ze złością.

Poznaj samego siebie.

A wtedy wiedzieć będziesz, co winno być odkryte, a co zakryte.

— Dobrze więc — rzekła Pani i stanęła przed zwierciadłem:

— Powiedz mi, zwierciadełko, czy jest kto piękniejszy ode mnie na świecie?

— O nie—zasyczał Prawąż.— Spójrz przez okulary, które widzą prawdę.

Ale skoro spojrzała w lustro żachnęła się ze złością.

— Precz, Wężu-Szatanie! Każesz mi wszystko zakrywać, bo chcesz jak najwięcej zużyć materjału. Precz!

— Gdzieżeś, Aniele - Stróżu mój? Gdzieżeś? Wolałabym być jak lilje polne, które nic nie wiedzą.

J. ORYNŻYNA



WIOSNA SIĘ ZBLIŻA



Kostjum z czarnego sukna przybrany kretami, haft cieniowany bronzowo popielaty.



Kostjum z piaskowego repsu, wyrzucany na plecach i szalowany z przodu.

Więc to już naprawdę wiosna?

Jakże obmierzły te płaszcze zimowe i aksamitne kapelusze! Precz z niemi! Panie wyczuwają już każdym nerwem, że idzie odmiana wielka, pełna niespodzianek odmiana mody. Wkracza Sezon, wcześniej niż wiosna sama, która czai się jeszcze pod śniegiem, lub drży z zimna — naga. Wam, piękne panie, nagość nie przystoi, a może, może nawet w niej nie do twarzy.

Wiosna!... Wierzcie mi, rozdwojone mam serce. Nawykowo, tradycyjnie jakby obciążona wyobraźnia widzi bazie, pierwiosnki, fiołki, rozsmęca się i roztkliwia à la Asnyk, wysoneca się i uwiersza. To jest jedna stroniczka mej duszy, której żadna z Was, miłe czytelniczki, nie pragnie— niestety — czytać. Odwróćcie ją więc co rychlej. Druga stroniczka urośnie właśnie dla Was w kolumnę całą, nie dorycką wprawdzie — ale druku. Tu znajdziecie coś, na co czekacie: mody wiosenne.

Nareszcie! nareszcie po przydługim tym wstępie odetchnęłyście — i można będzie dowiedzieć się czegoś konkretnego. Czegoś o kostjumie, sukni, płaszczu; o czemś, co jest waszym chlebem powszednim a zawsze smakuje, jak najlepsze ciastko.

Więc: — będziecie się przechadzać w bladem słońcu wiosennem wysmukłe, wydłużone. Linja bowiem pozostaje ta sama, choć wciąż jeszcze wycieniana. Wąska nie nazbyt długa, bo tylko do kostek sięgająca spódnica, kostjumowy żakiet krótki, przeważnie „angielski". Tego roku zastosował się kostjum zupełnie do swego celu, jest naprawdę trotteur. Smokingowy żakiet obszyty taśmą, albo sak luźny z barwną kamizelką, może być także w wąski pasek ujęty lub wreszcie (co modniejsze), pasek tylko z przodu. Rękaw wąski, rzadziej przyszerzany dołem mankietem. Żadnych barwnych haftów na kostjumach, żadnych naszyć.

Z materjałów zawsze jeszcze używana jest miękka gabardina ale ostatnią nowością jest ryps wełniany, bardzo odpowiedni, bo w miarę podatny i sprężysty. W dziedzinie kolorów niema specjalnego nakazu, utrzymuje się wciąż: czarny, granatowy, bronzowy, popielaty i szary. Ślicznie wyglądają do kostjumów noszone kołnierze z białego linon i żaboty, które w tym sezonie znowu przyszły do głosu.

Zdawałoby się więc, że moda wiosenna będzie spokojna w tonach, surowa i prawie męska. Ale oto z pod smokinków i saków wyziera kamizelka, na której używają sobie barwy dowoli. Panuje tu (i wogóle w materjałach lekkich) w motywach i w kolorystyce — Wschód. Azja złożyła się na kamizelkę dla Was, szanowne panie. Indje, Persja, Chiny, Japonja. „Całe powietrze w Arabistanie" ledwie mi starczy na zaczerpnięcie tchu, by móc wymienić wszystkie pochodne odcienie siedmiorakich barw

a) Płaszcz podróżny z popielatego velour de laine przybrany skórą.
b) Płaszcz z piaskowego repsu naszyty ciemniejszą tresse cirée.

Rys. T. Gronowski



Palto z gabardiny taupe, haft różnobarwny, przeważa kolor żółty i czerwony.

Rys. T. Gronowski







Modele
Wiosenne
G. Zmigrydera
Mme Henriette




tęczy. A nie znajdzie się zapewne w żadnej geometrji dość nazw na określenie owych cudacznych figur, których zawzięta plątanina tworzy deseń materjałów.

Palmę pierwszeństwa z krain Wschodu otrzymała jednak ojczyzna Rabindranatha Tagore, ulubieńca pań całego świata. Oddały mu też po swojemu hołd, złożywszy królestwo swe — modę — u jego stóp.

Na sukniach rautowych rozkrzyczą się więc barwy z nad Gangesu i Bramaputry, podczas gdy z estrady zaszemrzą ciche słowa z „Ogrodnika"; ciche, blade, bezbarwne i — proszę mi przebaczyć bluźnierstwo — nudne. Obok indyjskości występuje też turecczyzna z swą posępną nieco i zagubioną w szczegółach fantastycznością, budzącą w nas reminiscencje starych szalów, któremi się delektowały mole. Salony staną się haremami, a panie przypomną sobie może znowu porzuconego niewdzięcznie Piotra Lotti'ego.

Przeobrazicie się więc w huryski i bajadery, gejsze i mandarynkówny. Na Konfucjusza! „Madame Buterfly" zluzuje teraz niezwłocznie „Halkę", a „Bajadera" doczeka się djamentowych godów. Na ulicy obowiązuje już „Salem alejkum", jako formuła powitania, a mężowie muszą się zaopatrzyć w piastry, które na czarnej giełdzie wkrótce przegonią dolary. Ciż mężowie, wydając niebotyczne stosy banknotów na stroje dla swych pań, będą wzdychać jękliwie na śpiewną nutę muezzina: „O Allah, Akbar Allah — jesteś wielki!".

Ciężko mi teraz wrócić na szary bruk europejskich miast, trudno po haszyszu otrzeźwić się ich wiosennemi wyziewami. A trzeba. Została przecież robe manteau, trochę już spostponowana, a jednak nieodzowna. Francuzki przypinają do niej pelerynki podbite wzorzystym (oczywiście w wschodnie desenie!) jedwabiem, ożywiają barwnym paskiem, wypustką, albo, wierne dystynkcji, obszywają taśmą.

Płaszcze naogół niewiele się różnią w fasonach od zimowych. Jako nowość wprowadzono pół-płaszcze, luźne, bardzo praktyczne i szykowne.

Oto właściwie wszystkie informacje na demi saison i na sezon wiosenny, który u nas trwa prawie do czerwca. Ale tak się to mówi — wszystkie! A obuwie, parasolki, torebki, kapelusze?

O kapeluszach znajdziecie w tym numerze osobny rozdzialik. Obuwie zaś (półbuciki i pantofle) jest wciąż jeszcze mocno wydłużone. Zjawia się już wprawdzie, ale bardzo jeszcze nieśmiało, indyjski pantofelek z poddartym noskiem (podobny do bretońskich drewniaków). Czy się przyjmie? Kłopotliwe to pytanie rozwiązać można kategorycznie: moda przyjmuje wszystko. Posiada bowiem wiele zaufania do elastyczności ciała kobiecego, które, posłuszne nakazowi swej tyranki, wydłuża się i kurczy.

Parasolki a raczej rączki do parasolek nie zmieniły się zasadniczo wcale, wyprzedziły wszakże cały ten obecny „Drang nach Asien", od lat dwóch przybrawszy już kształt rękojeści japońskiego sztyletu. Zostały więc grube a krótkie, wykładane kością słoniową, lub wysadzane po turecku kamieniami. Nikt jednak z powodu mniej lub więcej modnej parasolki nie popełnił jeszcze harakiri.

Ważniejsze są torebki, gdzie każda pani omnia sua secum portat. Woreczki przybrały teraz kształt kulisto-pękaty i pysznią się zamkami mocno ozdobnemi (Wschód—Wschód — Wschód!). Nie robi się już torebek z brokateli ale z mory czarnej lub z grubego jednobarwnego jedwabiu.



Żakiet skórzany, spódniczka i przybrania z wełny w kratę.



Kostjum z granatowej gabardiny, bluzka crêpe de chine'owa z żabotem.



Suknia z popielatego crêpe de chine'u, stanik gęsto marszczony, spódniczka pokryta srebrną koronką, przytrzymaną w pasie kolorowemi kwiatami.

Suknia z bronzowego velour chiffonu, haftowanego dżetem starozłotym.

I cóż jeszcze powiecie na to — szanowne panie, — że cienka jedwabna pończoszka ma także już byt zagrożony i zastąpi ją może wkrótce pończocha gęsto tkana z grubego jedwabiu w pasy lub kratę? Wszystko to już było — powiedział Ben Akiba, który, jako człek podobno mądry wielce, nie dziwował się zbytnio niczemu. Kobieta, której rozumowi tak szpetnie przygadują, ma jednak wiele wspólnego z najmędrszymi tego świata: nie dziwi jej żadna nowość. Ale ma też kobieta wiele z dziecka: cieszy się powrotem dawnej mody, jak dziecko raduje się porzuconą zabawką, gdy ją po pewnym czasie znowu wydobędzie z rupieciarni. Słowem — tym razem zwracam się do panów — kobieta zespoliła w sobie cnoty mędrca i dziecka, czyż więc nie wybrała lepszej cząstki?

NINA



Modele G. Zmigrydera — Rys. T. Gronowski

a) Kostjum z granatowej gabardiny, kamizelka z tureckiego jedwabiu. b) Kostjum z piaskowego repsu, kamizelka haftowana w motywy tureckie. c) Angielski smoking z materjału popielatego w kratkę, bluzka crêpe de chine'owa z żabotem.

JAKI KAPELUSZ JEST MODNY?

MODELE M-me HENRIÈTTE

— Co nowego przynosi wiosna w dziedzinie kapeluszy?

Madame Henriètte nie odpowiada na obcesowe pytanie, ale odrazu demonstruje. Z pudeł, z oszklonych szaf, z zazdrośnie ukrytych schowków wyfrunęły, niby ptaki, uskrzydlone w fantazyjne kokardy z wstążek z mory i gros grain — cuda kunsztu modniarskiego. Małe budki, grzybki, kapeliny o krągłych, dość wysokich główkach, z lśniącej słomy, laise, z jedwabiu, panette, crêpe de chine, picot i liséré. Przystrojenia przeważnie z wstążek, które często w kształcie gwiazd płasko są na główce naszyte, lub w bujnym puklu wzrosłe ponad główkę a jednym końcem opadające poza brzeg ronda. Nie unika się też barwnych zestawień. Oto piękny kapelusz z materji słomkowej (laise) koloru złota, z sutą kokardą barwy pawiej. — Dystyngowany, do sukni wizytowej odpowiedni, jest duży o wyginanem rondzie kapelusz z bronzowego jedwabiu, ubrany niefryzowanemi strusiemi piórami. — Jakże oryginalny jest kapelusz popielaty z krepdeszynu stebnowanego w deseń, o fantazyjnie modelowanem rondzie z sutą kokardą z wstążek. — A ileż wdzięku w małej czarnej budce, na której upięcie z wstążek posiada strzelistość lotek jaskółczych.

Madame Henriètte na zadane pytanie prelekcją o nowej modzie nie odpowiedziała wprawdzie, a oto teraz uśmiecha się tylko, bo widzi, jakie wrażenie zrobił pokaz. I triumf jej jest w całej pełni zasłużony.

NINA



Rys. T. Gronowski



PRZYGODA PANI LALI

(Z CYKLU: PANI LALA)

Tuż przed turnikietem Lursa spotykam panią Lalę.

— Ah, jak to dobrze, panie Kaziu, że pana widzę. Potrzebuję pomocy, rady...

— Oczywiście z rozkoszą służę jednem i drugiem. O cóż chodzi?

— Czy?... Czy nie spotkał pan przypadkiem pani Gigi?... albo pana Tadziuka?... lub państwa Więcławostwa Pęcławskich?... może wreszcie pannę Anetkę?... Nie?... Mój Boże, a umówiłam się z nimi do Lursa na siódmą. I to tak zawsze.

— Nie spotkałem ani pani Gigi, ani pana Tadziuka, ani państwa Pęcławostwa Więcławskich — których zresztą nie mam przyjemności znać — ani panny Anetki, bom jeszcze nie był u Lursa. Być może, iż wszyscy oni już tam na panią czekają razem.

— Jaki pan zabawny, panie Kaziu. Zawsze pan powie coś takiego komicznego... Jakże oni mogą na mnie czekać razem, kiedy oni nie wszyscy znają się nawzajem.

— A możebyśmy na wszelki wypadek weszli do lokalu? Pozwoli to pani ostatecznie rozstrzygnąć wątpliwości, czy wszystkie powyższe umówione na siódmą osoby nie przyszły, a równocześnie przez to samo pozwolimy wejść tym kilkudziesięciu osobom, które nie mogą się dostać do zatarasowanego przez nas turnikietu,

— Zawsze z pana nudny pedant,—rzekła pani Lala, wchodząc do Lursa.—Naturalnie, niema żywego ducha!— dodała, spojrzawszy na przepełnioną po brzegi publicznością salę.—Niechże się pan rozporządzi, byśmy dostali jaki przyzwoity stolik.

— Bardzo chętnie się rozporządzę, nie wiem tylko, czy moje rozporządzenie będzie posiadać moc obowiązującą.

— Naturalnie, z panami to tak zawsze...

— Na szczęście, proszę pani, widzę, że tam pod ścianą całe towarzystwo wstaje...

— Pod ścianą? Także coś... Przypuszczam, że ten pan stąd zaraz wstanie, bo już dawno wypił swą kawę, więc będziemy mieli świetne miejsce,—rzekła pani Lala, stając nad jakimś dżentelmenem, któremu przystawiono stolik w samem przejściu i wokół którego potok przelewających się gości wirował taką nawałą, że nieborak (gość,— nie potok) ustawicznie oburącz musiał zasłaniać i filiżankę ze stolikiem i siebie z kapeluszem na głowie.

— Zagranicą taki pan dawnoby już ustąpił swego miejsca damie, ale u nas?... phi!..., — zauważyła od niechcenia pani Lala, oglądając przez lorgnon, jak gablotowy okaz, walczącego z frekwencją dżentelmena.

W tym momencie stłoczony nurt lursowiczów zmiótł gościa od stolika i uniósł, niczem spieniony górski potok nadbrzeżną krzaczynę.

— Tu nam będzie doskonale; świetne miejsce, — rzekła pani Lala, otrzepując z impetem Walkirji osierocony stolik.

— Spróbujmy tedy usiąść, — zauważyłem z determinacją, starając się uchwycić krzesełko, które w odmęcie przechodzących futer, tańcząc wszystkiemi czterema nogami jakieś epileptyczne shimmy, zmierzało z prądem do wyjścia.

Pani Lala wraz ze swojem krzesełkiem spokojniuteńko wtuliła się tyłem pomiędzy dwie grupy, siedzące przy dwóch sąsiednich stolikach i, zastawiwszy się od przejścia stolikiem, niecierpliwie czekała, bym wreszcie usiadł w przejściu.

— Boże, jaki pan niezaradny. Proszę wreszcie sobie usiąść i nie zasłaniać mi widoku przechodzących. Kto jest ten pan, któremu się pan przed chwilą ukłonił z taką serdecznością.

— Ba! gdybym to ja wiedział. Znamy się już od kilkunastu lat z widzenia.

— To musi być jakiś wybitny jegomość. Ma takie ładne oczy... Jaki pan nieuważny, czemu się pan nie ukłonił pani Roztruchan-Kostkowej.

— Nie mam przyjemności znać...

— Ależ zna pan doskonale. Jej mąż, pan Roztruchan-Kostka, taki wysoki, siwy, z łysiną, senator. Podczas wojny emigrował do Rosji, by bronić Polski. Miał tam pod Moskwą fabrykę do spółki z jednym Belgiem. Jak tylko wrócił, zaraz porozumiał się z mężem pani Kostkowej...

— Przecież on sam, pani mówiła, był jej mężem...

— No tak — pierwszym. A ja mówię o tym drugim, o majorze, z którym się ona właśnie teraz rozwodzi.

— Więc z tą pierwszą Kostką już się rozwiodła?

— Ależ gdzie tam. Pan wie, jak teraz trudno z rozwodami. To bardzo nieszczęśliwa kobieta. Wychodzi w tych dniach zamąż za ogromnie bogatego obywatela ziemskiego. Z Wołynia. Kocha ją, mówię panu! Biorą ślub mahometański, za indultem.

— Od mahometańskiego papieża?

— Tak, bo on pochodzi z tatarskich książąt. A jaki zazdrosny!...

— O Kostkę czy o majora?

— O obu, panie, o obu! Nie pozwala jej widywać się z nimi. Słychane to rzeczy? Żeby kobieta nie mogła się widywać z własnymi mężami. A tego malarza, powiedział, że zabije.

— Którego?

— Wszystko pan chce wiedzieć odrazu? Takiego jednego malarza, jej znajomego. A udawał pan, że jej nie zna.

— Teraz już znam.

— Aha — i poco się było zapierać? Wy wszyscy tacy jesteście. Skompromituje kobietę a potem uda, że jej nie zna.

— Ja kompromitowałem panią Roztruchan-majoro-tataro-Kostkową?

— Boże drogi, z panem to doprawdy niewiadomo jak rozmawiać. Ja myślę o historji pani Leny i tego prokuratora...

— Aha — aha — pani Leny? i tego prokuratora? Którego?

— I której Leny, jeszcze pan zapyta? Czy pan się obraca pomiędzy ludźmi w Warszawie czy w Honolulu? Cała Warszawa się trzęsie... Żeby tak skompromitować kobietę!...

— Jak?

— A tak — po waszemu. Kochał się w Lenie dwa lata...

— Też mieli się pobrać?

— Skądże znowu? Przecież ona ma męża! A teraz, gdy wyszły na jaw te historje w banku Otwocko-Perskim z jakiemiś tam dolarami czy czekami, jak to w banku— pan wie, otóż on, proszę pana, zaaresztował jej męża. Zaaresztował jako prokurator! Tak skompromitować kobietę. I to się taki pan nazywa prokurator! Czy na to, drogi panie, niema żadnej konstytucji?!...

— „Na to?" To jest: na co?

— Eee! Wy wszyscy zawsze... jeden drugiego broni. A ofiarą padamy my — kobiety. Ja gdybym była w sejmie posłem, tobym zaraz wydała takie rozporządzenie, żeby wam w pięty poszło... A ich — jak niema tak niema!...

— Czy się pani napewno umówiła u Lursa?!... pardon! na siódmą?

— Najwyraźniej: u Lursa w piątek o siódmej, a już dochodzi ósma.

— Nic nie szkodzi. Oni tu przyjdą napewno. Mamy jeszcze sporo czasu. Dwadzieścia trzy godziny.

— Czy pan oszalał?

— Bynajmniej, tylko ponieważ dziś mamy czwartek godzina ósma, więc za dwadzieścia trzy godziny będzie akurat...

— Panie Kaziu, proszę sobie nie drwić! A to wszystko przez Zosię, bo mi przewróciła kalendarz przy okurzaniu biurka. Cóż ja nieszczęśliwa wobec tego pocznę?

— Może korzystając z okazji, że mamy trochę wolnego czasu do jutra... przepraszam, już nie będę! Może mi pani powie w jakiej kwestji potrzebuje pani mojej pomocy i rady?

— A właśnie, właśnie. Widzi pan, zawsze mnie pan tak zagada, zaflirtuje, że do słowa nie mogę dojść z tem, o co mi chodzi.

— Będę milczał jak telefonistka, gdy zachodzi ważna a nagląca potrzeba zatelefonowania.

— Otóż. Ale przedewszystkiem słowo honoru, że pan nikomu nic nie powie. Unieszczęśliwiłby pan mnie i jeszcze kogoś. Miałam fatalną przygodę, fatalną! I teraz nie wiem, co z tym fantem zrobić: czy powiedzieć Gidze, że Pęcławskiemu chodziło o Anetkę, a nie o mnie, czy też ostrożnie dać do zrozumienia Tadziukowi, żeby sam wypił to piwo, które nawarzył, czy też Pęcławskiej poprostu nie mówić nic, a rozmówić się w cztery oczy z Dziuniem i dać mu wóz albo przewóz, niech wybiera. Jak pan myśli? A wszystkiemu, słusznie pan przed chwilą zauważył, była winna telefonistka! Bo słychane to rzeczy, żeby równocześnie połączyć trzy osoby. Myślałam, że padnę trupem przy aparacie! Coś podobnego jeszcze mi się nigdy w życiu nie wydarzyło! Bo rozumie pan, Pęcławski teraz jest przekonany, że to ja udawałam głos jego żony, mówiąc do Anetki o Gidze, a Tadzinek, który stał za mną i radził, co mam odpowiadać na te niesłychane wprost insynuacje, jest przekonany, że to dołączył się Dziunio nie Pęcławski, — rozumie pan? Przecież to jest okropne? A jeżeli telefonistka była przekupiona? Panie Kaziu, pan coś musi wiedzieć, boby pan inaczej nie wpadł odrazu na myśl o telefonistce? Co? Niech się pan przyzna!



— Daję słowo honoru, że do tej pory jeszcze nic nie wiem.

— Przypuśćmy. Przypuśćmy, że ja panu wierzę. Przypuśćmy, że pan ma dla mnie więcej sympatji niż dla jakiegoś tam Pęcławskiego, z którym, właściwie, co pana może łączyć? Pan, dżentelmen w każdym calu i jakiś tam Pęcławski, który, między nami mówiąc, przed wojną był sobie zwyczajnym ajentem od sprzedawania kaloszy. Zresztą, pan to wie chyba lepiej ode mnie. A że teraz mają setki miljonów... Więc panie Kaziu, drogi, kochany, jedyny, niech mi pan poradzi, ale tak uczciwie, jak kobiecie z którą pan... sympatyzuje, nieprawdaż, i która pana bardzo, ale to bardzo... lubi. Więc, słucham. Ale proszę poradzić mądrze.

— Ano, rada bardzo prosta. Ja myślę, że pani powinna przedewszystkiem, ani słówka nie mówiąc Tadziukowi, porozumieć się z panią Anetką, żeby wpłynąć na Gigę, aby nie robiła wyrzutów Pęcławskiemu, natomiast wytłumaczyć Dziuniowi, że Tadzinek i Anetka nic nie mają przeciwko temu, by Pęcławska mogła się domyślać, że pani nie udawała jej głosu przez telefon, bo w jakiemże położeniu byłaby wówczas Giga wobec Dziunia? Następnie byłoby bardzo wskazane tak zrobić, żeby Pęcławski przypuszczał, że za panią przy telefonie stał nie Tadzinek tylko Dziunio, co wobec stosunku Dziunia do Anetki odrazu wobec niego postawi w innem świetle ewentualne zachowanie się pani w stosunku do Pęcławskiej, nieprawdaż? Potem należałoby dobrze natrzeć uszy Tadzinkowi, żeby sobie nie wyobrażał, że Anetka dla jego pięknych oczów zechce narażać swoją opinję wobec Pęcławskiej, a Pęcławskiego wkońcu należy spiknąć z Dziuniem, by w obecności pani zdeklarował się, co myśli o Gidze, a panią przeprosił. Jest to jedyne dla pani doskonałe wyjście z tej fatalnej przygody. Rozumie pani?

— Ależ naturalnie! To jasne! Oczywiście wykonam pańską radę co do joty. Dziękuję, serdecznie dziękuję. Proszę przyjść za tydzień a opowiem panu, jak się zakończyła cała ta nieszczęsna przygoda, i raz jeszcze podziękuję. Adieu!

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI

KULTURA MIESZKAŃ

CERAMIKA

W poprzednim numerze „Pani“, w artykule, zatytułowanym „Toaleta na scenie“, poruszona została sprawa urządzania wnętrz na scenie w harmonji kompozycyjnej z ubiorami artystów grających. Bo i jakże może wyglądać choćby najpiękniej pomyślana suknia, płaszcz, czy kostjum, jeśli będzie na zupełnie nieodpowiedniem kolorystycznie tle i w otoczeniu form niewłaściwych, a w dodatku brzydkich. Zagadnienie to jest bardzo ważne nietylko w teatrze, ale i w życiu prywatnem. Czyż można sobie wyobrazić, aby pięknie ubrana, dystyngowana pani mogła dobrze się czuć i wyglądać w brzydko i banalnie urządzonem mieszkaniu?



CZARKOWSKI — WAZON

Wierzcie mi, panie — mieszkania wasze powinny być urządzone z dużą kulturą i smakiem, jeśli chcecie w nich czuć się dobrze i wyglądać pięknie i interesująco.

Zagadnieniem dobrze urządzonego domu interesują się bardzo na zachodzie — to też w roku 1925 będzie w Paryżu urządzona wystawa międzynarodowa przemysłu artystycznego, w maju zaś bieżącego roku otwarta zostanie podobna wystawa we Włoszech (w Monzy, pod Medjolanem). Wystawy takie będą tam urządzane stale co dwa lata. W obydwóch tych wystawach Polska ma wziąć udział, organizując osobne działy polskiego przemysłu artystycznego. Jak wyglądać będzie dział polski — trudno dziś przewidzieć. Mamy jednak artystów, którzy pracują nad architekturą wnętrz, że wymienię Frycza, Czajkowskiego, Trojanowskiego, Jastrzębowskiego, Polkowskiego. Mamy pracownie ceramiczne, kilimkarskie, mebli, batików, haftów i t. d.

Mając nadzieję, że i w Polsce znajdzie się zainteresowanie dla tej dziedziny, postaram się infor-



CERAMIKA LUDOWA KASZUBSKA



WOJNACKI I CZECHOWSKI — CERAMIKA



MIKA MICKUN GŁOWA KOBIECA

mować Was, piękne czytelniczki, o wynikach twórczości naszej na tem polu. Dziś miło mi będzie zwrócić Waszą uwagę na ceramikę polską współczesną, gdyż daje mi do tego sposobność pierwsza orjentacyjna wystawa ceramiki, urządzona w Salonach Zachęty do Sztuk Pięknych w Warszawie.

Jaką ozdobą w mieszkaniu jest piękny wazon, nie potrzebuję chyba pisać, przechodzę przeto odrazu do samej wystawy i wystawców.

Wystawa ta urządzona została w związku z przygotowaniami do wystawy w Paryżu. Część eksponatów wysłana będzie do Włoch. Na czoło wystawy wysuwają się wyroby „Wojnackiego i Czechowskiego" oraz p. Szrejberówny. W wyrobach Wojnackiego, doskonale technicznie wykonanych, jest dużo pięknych tradycyj polskiego garncarstwa, widać zwłaszcza wpływ „Belwederu" i „Nieborowa". Tem niemniej jednak wyroby ich są inne, a przytem istotnie bardzo piękne — tak co do form, jak i ornamentyki.

Obok Wojnackiego należy postawić niezmiernie interesujące wyroby p. Szrejberówny, organizatorki tej wystawy, która dała przeważnie kapliczki, kropielnice, medaliki i inne dewocjonalje straganowe. Wyroby p. Szrejberówny mają tyle polskiego sentymentu i charakteru ludowego — a tak są miłe, że zasługują na szczere uznanie dla jej talentu.

Bardzo piękne również są wyroby państwa Czarkowskich, oparte przeważnie na formach dawnych słowiańskich. Pracownia ta zasługuje tem bardziej na uznanie, ponieważ jest jedną z najmłodszych, reprezentowanych na wystawie, istnieje bowiem zaledwie od roku.

Dużem zainteresowaniem powinny cieszyć się wyroby młodej artystki p. Miki Mickun. Zarzuciłbym jej tylko zbytnie przeładowywanie w paterach i koszach bezkształtnie ciężkiemi formami owoców.

Garncarstwo ludowe jest reprezentowane przez dwóch wytwórców: p. Netzla z Kaszub i p. Kopczyńskiego z Bolimowa, pod Łowiczem. Garnki kaszubskie odznaczają się prostotą form i ornamentem o szerokich płaszczyznach, podkreślających architekturę, są przytem doskonale technicznie wykonane. Wyroby te niewątpliwie znajdą żywe zainteresowanie zagranicą przez wybitnie polski charakter. Wazony p. Kopczyńskiego, aczkolwiek technicznie wprost świetnie wykonane, mają jeszcze pewne braki w ornamentowaniu, niedostatecznie uwzględniającem konstrukcję. Wielki nasz przemysł ceramiczny jest reprezentowany bardzo nielicznie, gdyż tylko dwie firmy nadesłały swoje eksponaty, mianowicie „Pacyków" i „Keramos". Wyroby ich są bardzo poprawne i mogą śmiało konkurować z zagranicznemi.

Ogólnie biorąc, trzeba przyznać, że wskrzeszona ceramika polska zrobiła bardzo duży krok naprzód i jest nadzieja, że następna wystawa przyniesie nam jeszcze piękniejsze rezultaty.

Na zakończenie dodać należy, że zasługa wskrzeszenia polskiej ceramiki przypada artyście-rzeźbiarzowi Jagminowi, którego uczniowie stanowią większą część wystawców.

CZESŁAW MŁODZIANOWSKI



SZRAJBERÓWNA KAPLICZKA

ZE SZTUKI PŁASKIEJ I PLASTYCZNEJ

Już od pewnego czasu we wszystkich salonach i salonikach sztuki, ba nawet w gmachu Towarzystwa, które naprzekór środkom i wszelkim ku temu danym postanowiło „zachęcać", jak mówi były prezes T-wa, do sztuki, nastąpiła zmiana obrazów na cierpiętliwych ścianach pomieszczeń dla tworów oliwnych i akwarelowych.

W noc marcową załzawioną, uszarganą, wiatrem stękającą—noc kocich zwierzeń i wyznań—w gmachu Zachęty zagadały ściany mową ludzką i nieprzyjemną.

— Cóż to sąsiadka tak głośno oddychasz?

— Chcę trochę wytchnąć, odpocząć! Jutro przecież z samego rana już mają rozwieszać. Znowu mi wbiją w biust haczysko ogromne i zawieszą mi na niem jakiego byka, albo z ćwierć w. m. Gdańska. Ale sąsiadka też trzeszczysz nienajgorzej — cóż znowu za przyczyna?

— Prostuję się, prostuję... Artretyzm! Ciągle mnie jakąś wodą obwieszają: to polskiem morzem Nałęcza, to moczarami Straszkiewicza — jakże tu nie chorować.

— Pewno!

— Oj tak, tak! Lepiej być kołkiem od sitka, niźli ścianą w pałacu Sztuki.

— Jutro samych proarcistów siedemdziesiąt i siedem sztuk powieszą, niby jakowychś plag liczbę fatalną.

— Na mnie tu czterech Kossaków zawiśnie.

— A na mnie cała Mela Muter ma się obwiesić.

— Oj, wiesz, ja wolę dwie Mutry, niż jednego Adalberta.



MELA MUTER GRUPA



MELA MUTER PORT W ST. TROPEZ

— Nic dziwnego, znane są wszystkim dobrze twoje skłonności niezdrowe.

— Takie czasy! Nie spieszę ci przeczyć.

— Spać do kroćset!... — ryknęła ściana poprzeczna sali honorowej.

Cisza zaległa w kurzu, wilgoci i odorze farb krakowskiej „Iskry".

Przed Zachętą cztery samochody, schody zamiecione, więc... vernissage.

Dwie sale główne i najlepsze—wystawa proarcistów. Na czele alfabetycznem p. St. Bagieński „Walka centaurów", czyli półpanowie, półjałówki skaczą sobie do oczu, zdradzając, podobnie jak autor, zamiary zgoła niedobre. „Ułani szarżują", obraz wyrażający porozumienie się autora z ułanami. Po B idzie C, a więc p. Cieślewski Tadeusz obchodzi kościoły i takowe maluje. P. Jasiński Zdzisław oddał jak żywe, dwa obrazy: „W chmurach" i „W polu". P. Kamieński Antoni odrysował siedem obrazów wiernie i dokładnie. P. Kędzierski Apolonjusz z wła-

ściwemi jego talentowi zaletami, namalował cztery obrazy znacznie lepsze od wszystkich wyżej wymienionych.

P. Kopczyńskiego Bronisława widzimy w swej niezmienności w Gdańsku, w Warszawie i Kazimierzu nad Wisłą. P. Kotowski Jan przedstawia i udaje konie w różnych pozach i różnem ich zatrudnieniu. Dostrzegamy gołem okiem na wystawie obrazy p. Krasnodębskiego i Masłowskiego. Dziwimy się niezmiernie, jakim to sposobem wkręcił się i do ściany przylepił swoje arcyniedzieło p. Piątkowski Henryk.

P. Pillati Gustaw czuje się trochę niewyraźnie w towarzystwie p. Henryka Piątkowskiego. P. Straszkiewicz Stanisław maluje kawałki z natury, których Chełmoński zrobić nie zdążył. P. Tański Czesław studjuje kobietę nie bez kłopotu i srogiego trudu. P. Władysław Wankie opisze się sam w organie p. Krzywoszewskiego, opisze en beau, pocóż mu więc psuć samoreklamę? Prawda? P. Ziomek Teodor maluje sobie uczciwie z natury nawet „Zimą" i „Pogodną jesienią", „Po deszczu", „Wieczorem", „Obłoki". P. Zawadzki Stanisław robi pewne olejne starania. Dla pp. akwarelistów, cierpiących na nerki, poleca się miast zwykłej wody do rozcieńczania farb świetną wodę Vichy wyrobu krajowego w syfonach barwnych.

P. Mela Muter, która była zgubiła w drodze swe obrazy a obecnie takowe znalazła, otrzymała, że dobrze maluje, salkę nienajlepszą. Tem pomieszczeniem komitet Zachęty częstuje gości z zagranicy. Kilka miesięcy temu pozwolono się gnieździć w tej ubikacji prof. Józefowi Pankiewiczowi, obecnie p. Muter. Artystka, wprowadzona już w salonach paryskich, wystawiła w Zachęcie parę kapitalnych rzeczy. Portret Władysława Reymonta jest jednym z najlepszych portretów, jakie widziałem w kraju od kilku lat. Dobrze skomponowany w układzie, w samej bryle posiada wiele wyrazu i charakteru modela. W kompozycjach figuralnych p. Muter celuje, nie obrażając płótna założeniem kompozycyjnem. Pejzaże pojęte syntetycznie i konsekwentnie przeprowadzone w konstrukcji szczegółów są dla Warszawy nie tanią nowinką, lecz nowiną niezmiernie ciekawą, pouczającą i szczęśliwą. Portret akwarelą p. H. Barbussa wskazuje wszechstronną umiejętność techniczną utalentowanej artystki.



MELA MUTER — STUDJUM PORTRETOWE

Przez wystawę bieżącą przebiega się szybko, nic na przyśpiechu kroków nie tracąc.

Przed Zachętą niema już ani jednego samochodu. Schody są zaśmiecone i zabłocone. Wszyscy ucichli. Stanowczo za długo siedziałem we wnętrzu murowanki z filarkami. Oczy bolą... Boże drogi, czego się nie robi dla Ciebie — „Pani"!

Po drodze do Ziemiańskiej afisz à la secession, wiedeńsko-krakowski, z obowiązującemi ptaszkami, przywołuje do salonu Garlińskiego, gdzie się rozwiesił i rozpanoszył Stanisław Czajkowski — malarz pracowity i zdolny niepomału. Trzydzieści sztuk pejzażów niezmiernie ciekawych — z tych jeden już przywłaszczony przez Departament Sztuki. Rzeczą charakterystyczną dla naszej publiczności jest szczególik: oto wszystkie co najlepsze obrazy Czajkowskiego zostały bez kartek „sprzedano", natomiast...

W lochu salonu Garlińskiego wystawa bieżąca. Świetne obrazy Stryjeńskiej i rzeźba Kuny.

Obejrzenie dwustu obrazów nie jest romansem. Po takiej rozkoszy człek się czuje znacznie starszy. No, ale czegóż, Boże miły, nie robi się dla „Pani".

J. Żyz.

MAGJA NA USŁUGACH MIŁOŚCI

W poprzednich numerach „Pani" pisałem o starożytnej kosmetyce; sąsiadowałem z p. Klimeckim i mam powody mniemać, iż dopełnialiśmy się wzajemnie: on dawał wskazówki praktyczne, a ja uzasadniałem ich wartość z punktu widzenia tradycji historycznej i filologicznej. Jeślibym jednak wtem chciał znaleźć partnera — to musiałby redaktor „Pani" zwrócić się przynajmniej do p. Szyllera-Szkolnika. Chcę bowiem parę słów napisać o zaklęciach miłosnych, oczywiście starożytnych.

Gdy płeć brzydka buntuje się i ani uroda, ani stroje, ani... kosmetyka nie może jej zmusić do posłuszeństwa i służby należnej płci pięknej, wówczas... trzeba sięgnąć po broń najpotężniejszą — czary!

Przyjrzyjmy się więc greczynkom i rzymiankom w tej roli czarodziejek. Oto w czasie nocy księżycowej na polanie, blado-srebrnem światłem zalanej, — piękna dziewczyna grecka. Już dwunasty dzień minął, jak nie wraca do niej jej luby. Trzeba więc rzucić nań czary, byle tylko Selene, bogini księżyca, i Hekate, bogini czarów, nie odmówiły swej łaski. One pomogły niegdyś czarodziejkom takim, jak Kirke i Medea, — niech i dziś staną w obronie opuszczonej dzieweczki.

Tajemniczy, magiczny ptaku, Jingzie — twojem zadaniem będzie sprowadzić kochanka przed wrota osamotnionej! Niewolnica rozpala ogień. Dziewczyna rzuca garść mąki w płomienie i mówi: „Rozsypuję kości Delfisa" (imię kochanka).

Rzuca gałązkę laurową — i gdy ona zamieni się w popiół — Delfis stanie się też popiołem i prochem. Dysk spiżowy ciska tak zręcznie, aby zatoczywszy koło, upadł pod jej nogi — niech Delfis powróci do kochanki.

„Jingzie, Jingzie, kochanka wróć mego"!

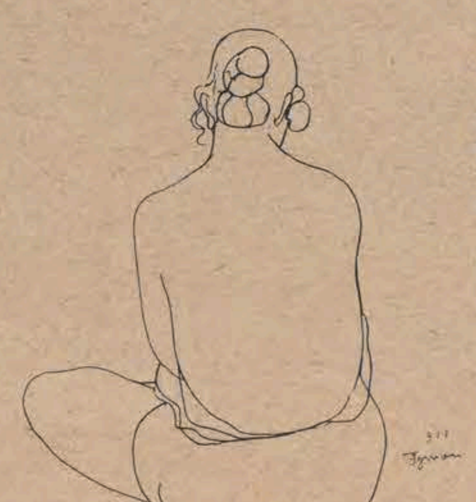
Morze się uciszyło, wiatry zamilkły, ale sercem ból miota — „gdzie ten, który dziewictwo zabrał i porzucił shańbioną"?

I głosi dziewczyna: „Czy to kobieta, czy też mężczyzna przy nim teraz spoczywają — niech go opuszczą i zapomną o nim, jak Tezeusz opuścił Ariadnę pięknowłosą"!

Oto skrawek odzieży Delfisa — rzućmy go w płomienie — stanie się czar najsilniejszy.

A teraz, Seleno, posłuchaj, jak powstała miłość dziewczyny. „Gdy ujrzałam go, nieomal oszalałam; serce mi się skrwawiło; zapomniałam o mej urodzie; nie patrzałam na jego otoczenie; nie wiem, jak wróciłam do domu; a potem dziesięć dni i dziesięć nocy ciężkie cierpienie trzymało mnie w łożu dziewiczem".

Niewolnica poszła do Delfisa i przyprowadziła go do pani swojej. „A ja, gdym ujrzała, że lekką stopą przekracza próg drzwi moich, poczułam chłód śniegowy, czoło pokryło się kroplami potu, jak rosą poranną, głos zamarł we mnie, jak dziecku, gdy przez sen szepcze coś do drogiej swej matki; krew zakrzepła w żyłach i byłam, jak posąg z marmuru".



Dziś Delfis kocha inną; oto czary mają go powrócić w ramiona kochanki; lecz jeśli i potem nie zapuka do jej domu, to przyjdzie mu zapukać do bram Hadesu; zna bowiem dzieweczka straszne, przeraźliwe uroki śmiertelne i trucizny czarodziejskie, których nauczył ją assyryjski cudzoziemiec.

Oto przepiękny obraz guseł z II-ej sielanki Teokryta. Gusła te, podobnie, jak owe, ze znanej VIII-ej eklogi Wergilego, są w gruncie rzeczy, niewinne, w porównaniu zwłaszcza z krwawemi i przerażającemi obrzędami czarnej magji, których wyobrażenie daje nam piąta epoka Horacego.

Oto Canidia chce przyciągnąć do siebie Warusa z pomocą magicznych zaklęć i napoju miłosnego o wielkiej mocy. Napój ten będzie sporządzony... z mlecza i wątroby młodego chłopca. Wraz ze staruchą Saganą porywają dziecko; — słyszymy jego skargę i płacz: „Ktokolwiek z bogów w niebiosach rządzi ziemią i ludźmi! Co oznacza ten gwałt? Czemu wszyscy tak źle patrzą na mnie?

Ale łatwiej serca Traków, niż czarownic wzruszyć. Dziecko, morzone głodem, ginie wśród tajemnych obrzędów, a Canidia wznosi modły do Nocy i Diany, aby Varus powrócił do niej. — „Przygotuję dla Ciebie (wszak szydzisz ze mnie) większy puhar; większy puhar wyleję i pierw niebo zapadnie się niżej od morza pod ziemię, niżbyś mógł nie płonąć do mnie ogniem miłości, jak smoła w ponurem ognisku".

Epoka kończy się przytoczeniem żałobnej skargi dziecka, przeplatanej wspomnieniem o rodzicach, którzy oby mogli być świadkami tego, jak psy i sępy rozwłóczą kości przeklętej czarownicy.

Czy to wszystko — bujna fantazja Horacego, czy też odłos plotek o czarownicach, czy wreszcie prawdziwy obrazek starożytnej magji — nie wiemy. Faktem jest, że tego rodzaju pogłoski krążyły — bo Cicero w mowie przeciw Vetiniusowi (rozdział czternasty) zarzuca mu, iż wywołuje dusze zmarłych i dzieci składa cieniom w ofierze".

To, co opisałem, straszne jest niewątpliwie, ale zarazem ciekawe niezmiernie i uderza swym romantycznym nawskroś charakterem, chociaż wyrosło na punkcie klasycyzmu. Ten romantyzm z paru klasycznych dzieł wydobyć i chmurkę zadumy nad tem, że świat wciąż jednakowy, — na czole czytelniczki wywołać, było zadaniem autora.

ZDZISŁAW KONOPKA

G A W Ę D Y
O
STARYCH KSIĄŻKACH

I

O tem, że wino im starsze tem lepsze, wiem już oddawna. Ostatnio nabieram coraz głębszego przeświadczenia, że to samo da się zastosować do książek. Im starsze — tem lepsze, t. zn. ciekawsze. Jestem zapalonym bibljofilem — z niemałą domieszką erotyzmu, ba! nawet pewnego zboczenia: bo tylko książki-staruszki, pomarszczone, pożółkłe, zgrzybiałe, tchnące rozkoszną wonią piwniczną, niewysłowionym aromatem stęchlizny, — ach! tylko sędziwe księgi z drżeniem chwytam w ręce i darzę czułą pieszczotą. Nie nęcą mnie wspaniałe tomiska współczesne: owe perwersyjnie i aż do przesady estetyczne, wyfioczone nuworiszki, bezwstydnie na pokaz publiczny wystawiające wdzięki swoje w witrynach księgarskich; obojętnie patrzę na wściekle piękne i wściekle artystyczne produkcje wydawnicze: teki, albumy, monografje etc., które ostatecznie nabyć może byle łyk czy szajgec za kilkaset tysięcy czy kilka miljonów marek. Doprawdy: nudą i obrzydzeniem napawa mnie to wszystko.

...Ale ze wzruszeniem, z zapartym oddechem, z niecierpliwością i pasją szperać mogę całemi godzinami po zakurzonych półkach antykwarni. Szukać, przerzucać, otrzepywać z kurzu, wydobywać z pod spodu, wynajdywać książki stare, zapomniane, o których nikt nic nie wie, książki dziwaczne, zakazane, niedostępne oczom i sercu mdłych pięknoduchów,—tej rozkoszy najsłodszej oddaję się cały — z biciem serca pytam o cenę—płacę z westchnieniem ulgi radosnej lub troski — i skarb najdroższy przyciskam do serca.

Emfazę czy przesadę dostrzeże w tej tyradzie miłosnej ten tylko, kto... Nie mówmy zresztą o profanach.

II

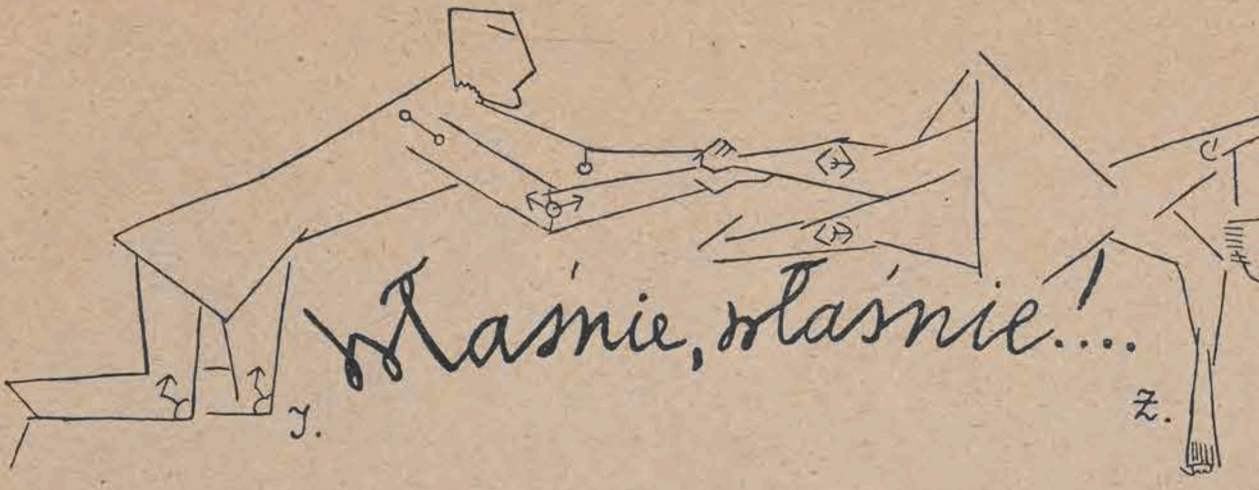
Rozwój techniki i nauki zabił cudowność i bajeczność. Indje są kolonją angielską. Aby pojechać do Indyj należy mieć: 1) chęć, 2) pieniądze i 3) wizę angielską. Ongi — Indje były krajem dziwów, siedliskiem niesłychanych zwierząt, niebywałych zdarzeń, nieprawdobnych skarbów, słodkich tajemnic. Dziś — wszystko jest zbadane, dowiedzione, ułożone, usystematyzowane, wiadome, zgóry przewidziane. Znikły tedy cudowne opisy lądów zamorskich — znikł pewien *typ* książki. Tylko na zwietrzałych, pożółkłych kartkach znajdziemy jeszcze relacje z pielgrzymek i podróży „do tartarów y indyiczyków". W jakiej książce znaleźć teraz można te przemiłe, naiwne, prześliczne informacje w rodzaju tej np., że Lapończykom usługują djabły (Giłowski w Katechizmie, w. XVI), albo że sąsiedzi nasi, Rosjanie, śpią przez pół roku, jak niedźwiedzie (Chmielowski, „Nowe Ateny", w. XVII)? Znikła też wiara w djabła i czarownicę — a wraz z nią *typ* dzieła, groźnie i poważnie rozprawiającego o sprawkach szatańskich. Dalej: przestały istnieć kalendarze, zielniki, relacje o potworach, dziwach, niezwykłych zjawiskach natury i t. d. Bo już wszystko wszyscy „wiemy". Sztubak ze wstępnej klasy bez zająknienia gada dziś o Franklinie, piorunochronie i elektryczności, a uczony, ksiądz Bohomolec, nauczał w wieku XVIII, że błyskawica jest to „para siarczysta z waporami ziemnemi i saletrą zmieszana".

Tylko w starych książkach pełno jest dziwów, cudów i tajemnic.

III

Dlatego zbieram je z pasją i czytam z radością. Specialité de la maison: o djable, czarownicach, zabobonach, cyganach, antychryście, piekle, kometach, potworach, torturach, sektach tajemnych, o dziwnych zjawiskach natury, awanturnikach, oszustach... Jednem słowem dział, którego terminus technicus w handlu antykwarskim brzmi: „Curiosa". A że niejedną czytałem osobliwość na temat kobiety i miłości, więc pięknym, jak się to mówi, czytelniczkom „Pani" opowiem co nieco w przyszłym numerze.

J. TUWIM



literatura

„La garçonne" pana Wiktora Margueritte dotarła nareszcie do Warszawy. Jak wiadomo — autor był prezesem związku literackiego i kawalerem Legji honorowej. Wszystkich tych godności i tytułów pozbawiono go odrazu, twierdząc, że napisał książkę pornograficzną i paszkwil na współczesną kobietę francuską. Ze względu na opinję tak pochlebną czytelnik polski chwyta tę „powieść obyczajową" oburącz i źrenicą rozszerzoną wodzi po jej kartach. Ma słuszność zupełną. Jeżeli już w Paryżu, który nas darzył stale romansami w żółtych okładkach i sztuczkami teatralnemi z łóżkiem w drugim akcie, rzecz uznano za tak dalece nieobyczajną, to — warto chyba „fałdów przysiedzieć".

Niestety! Świat się zepsuł widocznie, moralność po wojnie upadła niesłychanie nisko i nikomu już ufać nie można. Powieść pana Wiktora Margueritte'a jest nudnem, rozwlekłem kazaniem, z morałem na końcu i morałem na początku. Przez te dzieje pewnej nieciekawej Moniki Lerbier, jej kilku kochanków i kilku kochanek, nie można poprostu przebrnąć, takie to blade, bezbarwne, przeładowane jakiemiś szczegółami anatomicznemi, fizjologją rozkoszy i psychologją małżeństwa. Rzecz oscyluje między nudnym wykładem dla akuszerek i artykułem dziennikarskim na temat „wyludnienia". Doprawdy trudno zrozumieć, czem się szalony sukces tej — w gruncie rzeczy bardzo poczciwej w swych tendencjach i zamierzeniach — powieści tłumaczy i dlaczego właściwie rozchwytano — w Paryżu! — 150 tysięcy egzemplarzy owej „garçonny" w ciągu trzech miesięcy.

Widocznie p. Wiktor Margueritte sam jest człowiekiem nienormalnym i urodził się w czepku. — *CHRYZPE* —

Miło jest wspominać odniesione wrażenia artystyczne, zwłaszcza teatromanom, których, mimo konkurencji kin i ogólnego sceptycyzmu wobec zamierzeń teatralnych — sporo jeszcze posiadamy. Kolekcjonują programy, aby potem kiedyś, przerzucając pożółkłe kartki, powtórnie przeżywać czarowne dziwy, oglądane na scenie...

Wydana z okazji dziesięciolecia teatru Polskiego księga pamiątkowa będzie dla takich prawdziwych miłośników teatru skarbem nieocenionym. Znajdą w niej bogato ilustrowane opisy z minionego dziesięciolecia, przypomną sobie z jakim trudem powstawał ten wspaniały przybytek sztuki dramatycznej, tytaniczne wysiłki organizatorów, syzyfowe prace zapalonego entuzjasty sztuki i niezmordowanego sternika nawy teatru Polskiego dr. Arnolda Szyfmana, który, wiodąc silną ręką swój teatr, wśród burz i niepokonanych zda się przeszkód, z dumą spoglądać może na swój bilans dziesięcioletni.

Wytworna forma łączy się w „Księdze" z bardzo interesującą treścią. Materjał statystyczny opracowano bardzo przejrzyście i z pedantyczną skrupulatnością.

A z kartek „Księgi" spoglądają ślady pięknych wieczorów teatralnych, owych przelotnych wędrówek w krainę ułudy, podczas których zapomina się o wszystkich troskach czy radościach dnia powszedniego, pokornie zdążając drogą, którą autorowi przy pomocy aktorów prowadzić nas się podoba..... Przypominają się „Irydjon" i „Juljusz Cezar", „Nieboska" i „Miłosierdzie", „Cyrulik Sewilski" i „Wesele Figara", „Chory z urojenia" i „Hamlet", olśniewające barwy kostjumów, przepych wspaniałych dekoracyj i upajające kreacje artystów.

L—SKI

Ukazał się numer 4-ty „Południa", wytwornego czasopisma ilustrowanego, poświęconego sztukom plastycznym. Należy się zdumiewać, że pismo to, wychodzące na południu oceanu lodowatego, w legendarnie pięknem mieście kresowem, skupiło dobre pióra fachowe z całej Polski i zdobyło się na luksusowe wydanie.

Jeszcze bardziej zdumiewające jest to, że wyszedł już numer czwarty „Południa", wtedy, kiedy wszystkie nasze pisma artystyczne zwykły kończyć karjerę na 2-gim numerze (w celu ułatwienia zbierania kompletów).

Każda Pani wytworna (noblesse oblige) powinna mieć u siebie to pismo na stole. Każda bowiem „Pani" wie, że pod wyrafinowanie gładką fryzurą trzeba mieć głowę umeblowaną przynajmniej tak, jak buduar. (Tem bardziej, że każda Pani ma głowę, jeśli jej nie straciła w dzisiejszych warunkach, nie każda zaś buduar).

Jeśli Pani wytworna, wzorem księżniczek renesansu, zapragnie być protektorką sztuk pięknych, czy też wybierze zawód mniej kosztowny, a niemniej zaszczytny natychbaczki (nowotwór — z francuskiego inspiratrice), znajdzie niezawodnie w „Południu" podwaliny kultury artystycznej.

Ukazanie się „Świata Mody", „tygodnika poświęconego sprawom urody we wszystkich jej przejawach", było dla „Pani" niespodzianką, która wpłynęła dobroczynnie na jej sceptycyzm, wywołany brakiem pokrewnych czasopism. Pełne głębokiej kultury i fachowości, iskrzące się humorem perły stylistyczne, w rodzaju „Czarów sukien", lub „Koronkowych tajemnic", mnóstwo impresyj krytycznych, wrażeń, listów z zagranicy, składa się na niezmiernie zajmującą dla naszych Pań całość. Redakcja „Świata Mody" nie zapomina przytem o zadaniach, które postawiła sobie na wstępie. Stworzenie „Estetyki codzienności", placówki przemysłu i sztuki modniarskiej — oto zadania, zaniedbane i godne ze wszech miar uwagi; ankiety, ukazujące zagadnienia mody w oświetleniu naszych wielkich mistrzów i artystów pp.: St. Żeromskiego, W. Drabika, Tad. Hersego i G. Zmigrydera powiedziały nam wiele nowego. Pierwsze zeszyty „Świata Mody" wróżą, że przyczyni się to pismo do poważniejszego rozwoju polskiej sztuki modniarskiej i zainteresuje tą sztuką szerokie koła naszego społeczeństwa.

teatr

Gdy dla spóźnionej nieco margrabiny, lokaj, w przepełnionym od gości pałacu, wzdragał się słać łoże w gabinecie, ponieważ spał już tam pewien rotmistrz, książę Rohan, pan owego pałacu, jeden z najwykwintniejszych biskupów francuskich XVIII w., rzekł do owego lokaja, rozpraszając, niby mgłę, jego niewczesne skrupuły: „Niema rzeczy nieprzyzwoitych w dobrem towarzystwie".

Roześmiana i zachwycona publiczność ostatniej premjery Teatru Małego musiała po-rohanowsku myśleć na „Szkole kokot" pp. Armonta i Gerbidona, iż niema nieprzyzwoitych tematów, gdy je ujmują pisarze wytworni i gdy je interpretują artyści pełni dobrego smaku. Przedstawienie „Szkoły kokot" należy do najświetniejszych spektaklów komedjowych, jakie wogóle notuje Warszawa. Jest to komedja obyczajowa Poprzez dowcip, który wydaje się igrać tylko z samym sobą, oglądamy przecież prawdę wielkomiejskich stosunków obyczajowych, stosunków metropolji świata, stolicy stolic, Paryża. Dowcip jest tutaj promieniem Roentgena, który odsłania przed nami duchowe, powiedzmy psychiczne, wnętrze panujących obyczajów Widzimy dzięki niemu, jak bije serce Madame Karjery. Spostrzegamy, jak wielką rolę odgrywa w życiu społecznem osobisty urok, jakim potężnym motorem jest próżność, jak dużo znaczą — głównie w sensie szkodniczym — liryczne uczucia, i jaka to praca bez spoczynku, mozolna, być nieustannie czarującą. Być uroczą — trzeba umieć. Nie wystarcza: być uroczą. Stary Owidjusz wiedział to już o miłości. Niedość: szczerze kochać. Kochać trzeba:

KORYFEUSZE TEATRU

I — *Rys. Edwarda Głowackiego* — II



MILA KAMIŃSKA



KAZ. JUNOSZA STĘPOWSKI

umieć. W przeciwnym razie niedługo zachowa się wzajemność. Sztuka pp. Armonta i Gerbidona mogłaby niemal nosić tytu- „Szkoła życia".

Wybornie wyreżyserowana przez p. Janusza, „Szkoła kokot" genjalnie jest grana przez p. Ćwiklińską w roli Genowefy, świetnie przez pp. Grabowskiego (hrabia Feronière), Orwida, Janusza, Macherskiego, Dunikowską, Kawińską, a pp. Arnoldówna i Gorczyńska stanowią ładnie migocące rauciki, jako tak zwane epizody widowiska. P. Ćwiklińska olśniewa swym wielkim talentem i swoją rzadką finezją w tej roli, wprawdzie doskonale napisanej, lecz napisanej dla wielkiego talentu, posiadającego ogromne bogactwo środków artystycznych. Ta znakomita dramatystka potrafi być subtelna, nie rozproszkowując roli na oddzielne subtelności; nie jest subtelna kosztem jednolitości postaci. Jej finezja nie dzieli interpretowanej przez nią figury, nie analizuje (czyli rozszczepia), nie zabija, nie czyni martwą, ale przeciwnie, całkuje, ożywia, a to dlatego, że p. Ćwiklińska, budując swoje bohaterki, idzie nie od szczegółów do całości, lecz od całości do szczegółów. Daje żywego człowieka, indywidualność. W pierwszym akcie p. Ćwiklińska zapoznaje nas, więcej niż po mistrzowsku, z ładną, młodą dziewczynką wrzącej stolicy, z dziewczynką o dużym temperamencie, lekkomyślną, uczuciową, wesołą, niemoralną, słowem z kokotką, której główka odznacza się żywością, ale i niesłychanym (o, niekształcona młodości!) chaosem niemyślenia. Niema w tej główce najelementarniejszego porządku. Śliczna Genowefa to same odruchy. P. Ćwiklińska z niesłychanym czarem odsłania nam impulsywną duszyczkę tego lubego stworzonka. W drugim akcie widzimy już sens w pięknie uczesanej główce Genowefy. Bywalcom teatralnym przypomina się „Pygmaljon" Shaw'a — ale nikomu nie może przyjść na myśl zapożyczenie się autorskie, ponieważ go tutaj niema; spotkanie się idei w przybytku sztuki, nie oznacza spotkania się krewnych. W trzecim akcie Genowefa jest niejako najwyższą arystokracją półświatka; u jej stóp klękną królowie. Duchowy rozwój tej postaci (duchowy! od wyrazu psychika) p. Ćwiklińska wyrzeźbiła w złocie i słoniowej kości sztuki aktorskiej z zachwycającą maestrją. Jej Genowefa jest arcydziełem.

My, ludzie cywilizacji europejskiej, zapominamy, i to czasem na bardzo długo, o namiętności. W naszem zorganizowanem życiu społecznem zapominamy, że namiętność istnieje; zapominamy o niej do tego stopnia, że jeśli zdarzy nam się nagle ją spotkać, nazywamy ją ordynarnością. A to dlatego, że funkcje cywilizacji są to, między innemi, pasy hypnotyczne, usypiające szatana gwałtowności, który w nas mieszka, a którego imię bywa różne: żywioł, popędliwość, namiętność. Od czasu do czasu dobrze jest przecież przypomnieć sobie, że nosimy w duszy tę ślepą siłę, nie znającą się na logice, tę niebezpieczną potęgę, która podobno nawet stanowi ni mniej, ni więcej, tylko serce samego życia. Zahypnotyzowani przez cywilizację, spokojni, pewnego dnia ulegamy dreszczowi, który tem samem jest dla nas, czem trzęsienie ziemi dla naszej planety. Hypnoza cywilizacji przestaje działać, budzimy się ze snu, przecieramy oczy, gdzież to jesteśmy? w środku jakiej burzy? czy może sami jesteśmy burzą?! Pojmujemy z radością i przerażeniem, że teraz dopiero jesteśmy sobą, teraz, gdy szalejemy!

Jeżeli teatr posiada dla nas tak wielki urok, to głównie właśnie dlatego, że stawia nas oko w oko z namiętnością, że, inkarnując dzieło dramatycznego poety, włącza nas w straszliwy i rozkoszny puls niepojętego serca samego życia — w namiętność, że budzi w naszej piersi żywioł, ukołysany aż do senności przez powszednie pasy hypnotyczne cywilizacji. W teatrze stajemy się sobą. Odchodzi od nas, jak odmoczony plaster, ogólnie obowiązująca logika; zaczynamy żyć stokroć prawdziwszą prawdą własnego szaleństwa.

P. Lenormand w efektownej sztuce p. t. „Samum", wystawionej ostatnio w Teatrze Polskim, zapragnął ukazać namiętność, jaką zapala w człowieku uderzenie afrykańskiego słońca i afrykańskiego gorącego wichru. Dramat p. Lenormand posiada podwójną wymowę: prostą i symboliczną. Żarliwy wiatr Samum podnieca ludzi do szaleństwa, i namiętność ludzka to także samum. Autor francuski opowiada o wietrze afrykańskim i wichrze duszy człowieczej z przestrachem. Nie unosi się ponad nimi, jak Bóg, ale podgląda je z dołu, pełen przeświadczenia, że może być każdej chwili pozwany w katastroficzny taniec. Stanowisko to jest słabością sztuki. Niemniej przecież spektatorowie „Samum" doznają wrażenia, że ich osmalił ogień namiętności, wiejący ze sceny. Ten fakt wystarczy, aby autorowi wybaczyć niejeden błąd.

Co do samego węzła dramatycznego, uważam, że jego koncepcję zepsuła ugodowość. P. Lenormand nie miał odwagi dać poprostu namiętnej miłości ojca do córki, do córki, której nie widział prawie od jej urodzenia. Ale taki związek miłosny nęcił go jako dramaturga. Nie chcąc go się wyrzec, a bojąc się obrazić nim smak moralny szanownej publiczności, uczynił córkę idealnie podobną do matki, a bohaterowi kazał namiętnie kochać w córce jej zmarłą matkę. Słowem, p. Lenormand jest tu odważny tchórzliwie. Z dramatu życiowego robi dramat literacki. Jego główny bohater niemal dwadzieścia lat nie widzi swojej zdradzieckiej żony, przez cały ten czas ma przy swoim boku piękną metyskę, która mu dawała upojenie, i oto gdy przy-

bywa do Afryki jego córka, on zaczyna płonąć miłością do jej matki, ale na ustach córki! Ma to znaczyć, że on nie pożąda córki, mimo że jej pożąda. Publiczność nie może się oburzać na niemoralność, bo tu przecież niema kazirodztwa, mimo—że jest kazirodztwo. Według mnie, ta tchórzowska sofisterja paryskiego dramaturga pozbawiła „Samum" potęgi tragicznej.

Złamanego przez namiętność, głównego bohatera sztuki, grał po mistrzowsku p. Wojciech Brydziński. Jego córką była p. Majdrowiczówna. Wyglądała olśniewająco, grała z talentem, który zdobywa coraz więcej środków artystycznego wypowiadania się w blasku rampy. Ta młoda artystka powinna dużo grywać w otoczeniu swoich świetnych kolegów. Śliczną metyskę wybornie inkarnowała p. Broniszówna. P. Łuszczkiewicz, grający młodego zakochanego araba, mówił jak dobrze wychowany, grzeczny, sentymentalny europejczyk.

Sceny zbiorowe bardzo malownicze, akt napełniony gorącym samumem, w którym szaleją ludzie, wypadł pod względem aktorskim i reżyserskim niezmiernie efektownie. *W. GRUBIŃSKI*

Na Karowej jest albo dobrze, albo źle, nigdy nie jest bardzo dobrze, choć bywało i bardzo źle. Dyrekcja „Stańczyka" robi, co może, a ponieważ nie każdy wiele może, więc program jest mniej więcej taki, jakby tu powiedzieć: i to i owo. Gdy *owo* jest dobre, to *to* jest nic nie warte i naodwrót. Stańczyk-Rakowiecki mówi dobrze nawet to wszystko, co mu wetkną złego do ręki. Nie jego to wina, no i nie zasługa — boć przecie mógłby raz zastrajkować i powiedzieć:

— Nie będę wszystkiego gadał, co mi dajecie, bo mam swój wstyd!

Pytanie: Do kogo on ma to powiedzieć?

Zapowiadacz, p. Znicz, jest całkiem niczego. P. Jastrzębiec gada, jak gdyby był sekretarzem Zw. Autorów Dramatycznych, furt o bolszewikach i paskarzach.

Ryga!

Buczyńska zato!... Ho, ho, moje państwo! Ba, Buczyńska! A p. Szadkowski, ledwo go słychać i widać z za fortepianu. Fortepian, oprócz dźwięku, ma, jak się okazuje, jeszcze wiele innych cennych właściwości.

Co p. Szadkowski robi w cywilu? Panie Olsza, niech pan powie, zupełnie szczerze, co p. Szadkowski robi w cywilu? Panie Rentgen, nie opuszczaj pan „Stańczyka", zmiłuj się pan nad nim. Jeśli pan odejdziesz, to i p. Parnel, i p. Pawliszczewa, i p. Lawiński też odejdą i co będzie?

P. Rentgen, p. tego nie zrobi, przecież tak miło, tak przyjemnie jest patrzeć na p. Parnela i p. Pawliszczewą. To ananasy w Stańczykowskim kompocie ze śliwek suszonych.

P. Rentgen, p. jesteś brzoskwinia!

Zmiłuj się nami i kasą.

P. Ordonówna, to też granacik płomienny!

Na premjerze był jeden pan na widowni, który nie pozwolił mi się śmiać — dlaczego? Czyżbym to robił bez sensu i niewłaściwie i w nieodpowiedniem miejscu?...

P. Lawiński! Oj, jaki on jest pocieszny. Trzymajcie go za nogi, nie puszczajcie, choćby żądał podwyżki.

Gdyby ktoś z moich znajomych, lub nieznajomych, lecz tylko z twarzy sympatycznych bliźnich, namyślał się nad tem, gdzie ma spędzić wieczór, poradziłbym mu z serca i przekonania: „Bliźni, idź do „Qui pro quo"! Niejeden z przekornych oczywiście rady mojej nie usłuchałby i powlókłby się do baraków dla bolszewików w Saskim, poto, żeby mi zaraz, tejże samej już nocy zatelefonować:

— Wiesz, byłem w „Rozmaitościach" i niech, je proszę ciebie!...

Jabym, rzecz prosta, odłożył słuchawkę na jej zwykłe miejsce, sam położył się do łóżka, rzucając bliźniemu słowo: idjota!

Teatr „Qui pro quo" daje revuety lekkie, strawne, miłe, a nadewszystko niezmiernie zabawne. Większość naszych teatrów daje nam liche revuety z pretensjami do wielkiej sztuki, revuety ohydne, ponure i nadewszystko niezmiernie nudne.

Revue w „Qui pro quo" pod tytułem „Perskie oko", zrobione mniej więcej na wzór paryskich revues, jeśli chodzi nawet o wartości czysto artystyczne, stoi znacznie wyżej, niż wszystkie pretensjonalne wydłubaniny (ręczę, że nie z głowy, jeśli bowiem z głowy, to winszuję) naszych autorów dramatycznych na temat bolszewików, paskarzów, leciwych panien ze dwora i innych rzeczy, tak mile działających na samopoczucie biednego widza, jak pestka na ociemniałą liszkę.

P.P. Pogorzelska (przemiła kotka), p. Chaveau — jako Messalka Tom, Walter, pardon, jeszcze Jadzia dorożkarka i apaszka zarazem, Lawiński, Urstein stanowią zespół zgrany, któremu trudniej o zgrzyt, niż o harmonję gry. P. Boroński, w odpowiednim dla siebie repertuarze, jest niezrównany.

Poza grą aktorów na specjalną pochwałę, czy uznanie, zasługują autorzy literatury scenicznej „Qui pro quo", oraz p. Jewniczowa, której pomysły dekoracyjne powinien corychlej obejrzeć *mizdż* Drabik.

Oj, komedja, komedja! Ładne pomieszczenie! Gdyby tak! Co? *ŻYZN.*

muzyka

Jeszcze jedna królowa. Ach, i jeszcze jeden książę, który nie ożenił się z swą narzeczoną, lecz musiał ulec rywalowi z mniejszą ilością gałek w koronie.

„Królowa fal" wyszła z pracowni Oskara Straussa, więc jest przepełniona walcami. Walce te są różnej wartości. Z początku silą się, żeby brzmieć pięknie i oryginalnie, ale udaje im się tylko to ostatnie — i tylko w połowie. W dalszym ciągu już je śpiewać można i można ich słuchać.

Prócz tego „Królowa fal" składa się z nagości. Współzawodniczą z sobą panie Niewiarowska i Sokołowska. Ich illuzoryczne kostjumy, to całe poematy, do których potrzeba pendzla malarza-konfekcjonisty. Ich nagości stają jakby do egzaminu. Po raz pierwszy widzę p. Sokołowską tak wspaniale bijącą rekord.

Otoczenie męskie: pp. Redo, Szczawiński, Misiewicz i Walter — nowy nabytek „Nowego Teatru" i wyborny — dzielnie pomagało, żeby premjerę uczynić pełną świetności, kwiatów i oklasków.

Jeśli stąpa się po różach u szczytu powodzenia, to po czarnych różach kroczy uosobione i wyrafinowane szczęście. Taki kobierzec podesłał pod nogi pp. Niewiarowskiej, Redo i Szczawińskiego, berliński kompozytor Walter Goetze w swej operetce „Czarne Róże". Czy w olbrzymim hełmie ze strusich piór i sukni szerokiej w biodrach, jak francuskie łoże małżeńskie, czy w stroju nie tak orężnym i bardziej przystępnym, primadonna Teatru Nowego ponownie dowiodła, że wróciła z wygnania z odświeżonym talentem fascynowania.

Sama operetka jest sympatyczna; posiada dobre efekty sceniczne, jak np. fosforyczne świecenie w ciemności, od którego widownia wpada w szał zachwytu,— i dużo ładnych, miłych melodyj, wzorowanych na popularnych motywach włoskich. „Czarne róże" są pełne życia. Jest to typowa operetka, bawiąca ludzi; niczem nie razi a sprawia przyjemność. Kilkoma pomysłami estetycznemi w związku z tematem, czerniejącym i kwitnącym w tytule. Myśl słuchacza nie pracuje bynajmniej nad rozsupłaniem treści, gdyż to się na nic nie zda.

W Nowościach nieśmiertelna „Bajadera" dała sposobność Lucynie Messal do przybrania swego talentu w formy teatralne, jeszcze bardziej olśniewające i królewskie. P. Messal stała się sama jedna całą wystawą przepychu i smaku, ostatnio miała całkiem dobrą i zdolną partnerkę w p. Hertenównie. *C. J.*

Klub Artystyczny zaczyna przysparzać sobie zasług w dziedzinie działalności istotnie artystycznej, racząc swych członków wieczorami muzycznemi pierwszorzędnej wartości. Do takich należał też niewątpliwie koncert pani Liljany Bloomfield.

Istotną oceną występu tego zajęli się panowie sprawozdawcy muzyczni pism codziennych, nie szczędząc śpiewaczce słów bardzo pochlebnych. Pozwalając sobie na sąd swobodny, subjektywny, dodać należy, że wieczór ten był jednym z bardziej smakowitych i wzruszających, jakie ma się sposobność w mieście naszem przeżywać, w atmosferze „Czarnych róż" i „Bajadery", która jak ciężka chmura zawisła na czas dłuższy nad miastem i niewybredną ulicą, piosenki staro-francuskie z repertuaru Yvetty Guilbert, ballady angielskie, groteskowe rytmy amerykańskie, murzyńskie kołysanki, wiały egzotycznym czarem i wdziękiem. Poza niewątpliwą wartością utworów tych, jako takich, interpretacja p. Bloomfield była na wysokim pozomie artystycznym.

Piosenki te zkolei zamieniały się na małe dramaty, krew w żyłach ścinające zdarzenia, lub na swawolne opowiadania, romanse, wreszcie miłe żarty. Duża muzykalność, talent mimiczny, dobór repertuaru, wreszcie osobisty wdzięk koncertantki, uczyniły wieczór ten jednym z milszych, dla ludzi obytych trochę z tym typem produkcyj muzycznych, tak mało u nas znanym i kultywowanym.

W. P.

taniec

Zupełnie nie szczęściło się głośnej tancerce niemieckiej w obu jej występach na estradzie Filharmonji.

Po pierwsze bowiem, przybyło jej od ostatniej gościny w Warszawie lat 7 czy 8. A to w życiu kobiety, ukazującej się przeważnie w pół-stroju, znaczy nie mało.

Po drugie, Olga Desmond nie wiedziała snadź, że przez ten czas zakwitły w stolicy Polski nowe świetne talenty choreograficzne, i że wróciła Halina Szmolcówna, że budzi podziw Szymańska, że olśniewała Bekeffi a teraz elektryzuje Makarowa, Pawliszczewa itd. Import gwiazd tanecznych zagranicznych staje się coraz, ach, coraz ryzykowniejszy.

Po trzecie. Żadna z pomienionych artystek nie pisała książek, gdyż sama była piękną książką. Olga Desmond zaś musiała dopiero napisać broszurę „Moja droga do piękności", to znaczy dopiero przebyć tę drogę. Czy ją przebyła?

Pierwszy występ zeszłotygodniowy dowiódł, że doszła tylko do pół-drogi.

A co do tańca samego, to nie imponował on niczem nadzwyczajnem. Oldze Desmond brak stylu Rity Sachetto a nerwu i temperamentu polek. Zbyt często wyrzuca do góry — niby wysokie cis — prawą nogę.

Jedynie i prawdziwie interesująco wypadł Nocturn Chopina. Tutaj artystka była pełną nastroju melancholji nocnej i nocnej ponęty. A kiedy zrzuciła wprzód wspaniały płaszcz, a potem nieznacznie—tiule, gazę i koronki bieli z poślubnego sympozjonu i stanęła naga, jedynie z przepaską wąziutką z srebrnej lamy — ciche „ach!" chodziło westchnieniami po sali. Lecz ktoś popsuł ciekawą chwilę. Jegomość jakiś, zgorszony śmiałym obrazem, wrzasnął kilka słów oburzenia, i zakończył je okrzykiem: „Wstyd!"

Publiczność jednak, widocznie bezwstydniejsza jeszcze niż Olga Desmond, pokryła piękne solo Filipa z Konopi burzliwemi oklaskami.

Brawa te rozległyby się były jeszcze wcześniej, gdyż tancerka snuła fazy nokturnu zgrabnie — gdyby nie pewne zarzuty, które czyniono co do świeżości biustu p. Desmond, tak odważnego, jakgdyby miał w sobie jeszcze jaki talent plastyczny.

Inne numery programu znacznie mniej wabiły oko. Najczęściej zresztą wzrok nic nie widział, gdyż światła mistyczne mistycznie raz po raz gasły. *C. J.*

sztuka

Redakcja „Pani" pozyskała na stanowisko rysownika-ilustratora znanego karykaturzystę, art. mal. p. Edwarda Głowackiego.

Z numerem dzisiejszym p. Głowacki rozpoczyna pracę nad cyklem karykatur p. t. „Koryfeusze Teatru".

Otwarcie Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie było zakłócone mowami delegatów. Delegat młodzieży powiedział między innemi, że: „... Polska, aczkolwiek jest pospolita, jednak jest wielka". Że też zawsze ci delegaci! P. Ruszczyc był zmęczony drogą z Wilna. Publiczność była umęczona jego mową w Warszawie.

„Satyr" utalentowanej rzeźbiarki Olgi Niewskiej wycisnął na usta pewnej damy w sile wieku i korpulencji zdanie oburzenia: „Można było rzucić w to miejsce listek, dosyć mam w domu tego widowiska i to zupełnie w takim samym stanie! La barbare"!

W Salonie Czesława Garlińskiego (Mazowiecka 16), prócz wystawy zbiorowej prac Stanisława Czajkowskiego na specjalną uwagę zasługuje wystawa bieżąca. Składają się na nią prace: Axentowicza, Fałata, Stryjeńskiej, Pankiewicza i Zawadowskiego.

Kilka akwarel prof. Fałata, pochodzących z okresu twórczości najbardziej charakterystycznej dla potężnego talentu artysty, zdobi wystawę narówni z pracami Stryjeńskiej, stanowiącemi cykl p. t.: „Siedem Sakramentów Świętych".

Uczniowie i uczenice szkoły p. Antoniego Buszka podarowali swemu drogiemu profesorowi pas rupturowy pięknie batikowany.

P. Librowiczowa-Mucharska wystąpiła na drogę sądową przeciw grupie malarzy z pod hasła „Pro Arte", za używanie bezprawne i bezpodstawne jej dewizy firmowej „Pro Arte", zapisanej pod odpowiednią liczbą w M. P. i H. Proponujemy stowarzyszeniu proarcistów, celem uniknięcia upokarzających możliwości, zaproszenie p. Librowiczowej na członka zwyczajnego stowarzyszenia. Można przecież coś zrobić wreszcie dla sztuki!

Handlarze obrazów twierdzą, że gotówki coraz mniej i naodwrót, obrazy coraz gorsze. Ach, ten Rząd!

sport

Początek sezonu sportowego wypadł dość interesująco. Mimo bardzo brzydkiej pogody, upartych chłodów, opadów, ponurego nieba, ubiegła sobota i niedziela przyniosły nam dwa ciekawe spotkania piłki nożnej lwowskiej drużyny „Pogoń", z dwiema drużynami warszawskiemi „Legji" i „Warszawianki". „Pogoń" lwowska roku zeszłego zyskała tytuł mistrza Polski, dzięki czemu otrzymała zaszczytne zaproszenie do Barcelony, gdzie ścierały się już najtęższe i sławne drużyny europejskie. W drużynie tej radzibyśmy więc widzieć młode lwiątko, które energicznie i ambitnie pokazałoby pazurki na terenie uropejskim, gdzie może — nie mając jeszcze dostatecznego uznania dla naszych głów, zyskalibyśmy bezwzględny szacunek dla nóg. Podróż ta do skutku nie doszła. Może to i lepiej — na razie. „Pogoń", po zimowych wywczasach, w pierwszem swem starciu z młodą „Warszawianką" zawiodła pokładane nadzieje. Pomijając to, że match skończył się na remi (4 : 4), do końca gry prawie „Warszawianka" przeciwstawiała ciężkiej i chaotycznej bieganinie mistrzów „Pogoni" młodzieńczą wolę, system, ambicję i temperament. Miało to skutek, że piętnaście minut przed końcem matchu stosunek był 3 : 0 na korzyść „Warszawianki". Tu już winą „Warszawianki" było, że zbytnio ufając swej wygranej, pozwoliła różnicę wyrównać. Można było do tego nie dopuścić. Nawet trzeba było.

O wiele zaszczytniej skończył się dla „Pogoni" match niedzielny z „Legją", kiedy już nietylko przeciwnik był dużo słabszy, ale i zalety gry naszego mistrza bardziej się uwidoczniły. Gra prowadzona była energicznie, atak pracował świetnie. „Pogoń", jakby zawstydzona wczorajszą prawie porażką, postanowiła ratować swe stanowisko. Strzały padały jeden po drugim. „Legja" w tem spotkaniu ledwo że była widzialna na boisku. Przy niezdarnej grze miało się chwilami wrażenie, że przeciwników jest podwójna liczba. Trzeba umieć się mnożyć, być wszędzie, gdzie trzeba. Uzyskano w tych warunkach jedną zaledwie bramkę. „Pogoń" zdobyła ich 7.

Drużyna „Makabi", pretendując o stanowisko klasy A, rozegrała match z „Polonją". Spotkanie to zawiodło ich oczekiwania. Gra skończyła się absolutną porażką w stosunku 11 : 0 na korzyść „Polonji".

W sobotę 24 i niedzielę 25 b. m. rozpoczęły się zawody piłki nożnej o mistrzowstwo okręgu warszawskiego. W pierwszem spotkaniu udział wzięły dwie interesujące drużyny warszawskie W. K. S. „Legja" i „Warszawianka".

Aczkolwiek match ten skończył się małą przewagą „Warszawianki" (5 : 4) „Legja" okazała się drużyną ambitną, energiczną i coraz groźniejszą dla swych przeciwników. Gra cała miała przebieg interesujący i żywy.

Niezdarniej trochę wyglądał dzień następny (niedziela) w spotkaniu najmłodszego klubu A. Z. S. (Akademicki Związek Sportowy) z naszym mistrzem warszawskim „Polonją".

Zbyt piękny był dzień wiosenny, zbyt dużo było pierwszorzędnej publiczności ze wszystkich sfer miasta (ku radości wszystkich, komu piękny sport na sercu leży) żeby nie bez rozczarowania pewnego patrzeć na oszołomioną, celów swych niepewną na boisku, piłkę. Dużo było strzałów w powietrze, dużo bieganiny, a rezultat sportowy mały. 5 : 0 nie przynosi zaszczytu „Polonji". Wszystko to było trochę zamazane, przygodne, niesprężyste. „Polonja" przy wszystkich swych znanych i uznanych zaletach robi czasami wrażenie, że wcale nie umie strzelać (nie obrażając nikogo z zasłużonych członków klubu).

A przecież jest to najefektowniejszy i ostateczny motyw, dla którego tylu pięknych młodzieńców zajmuje sobą zgromadzone wokół tłumy ludzkie! Co to będzie w następną niedzielę?!

WŁ. P.

kino

Złaknieni kina, po parotygodniowym poście, łaskawie przyjęlibyśmy każdy film, a cóż dopiero dwa tak kapitalne obrazy, jak nową produkcję Mary Pickford i Maksa Lindera. Komedja Lindera należy do jego serji prac amerykańskich w Los Angelos. Pod wpływem Charli Chaplina i buffonady amerykańskiej Linder stał się bardziej współczesny. Treść obrazu „Bądź moją żoną" jest zresztą przetransponowaną na grunt amerykański typową farsą francuską, metody jednak gry, a zwłaszcza sam typ oświetlania i reżyserja szczegółów, jest typową własnością Ameryki. Publiczność, któraby nie pojęła, być może, całej upiorności i potęgi niesamowitego komizmu Chaplina, przyjmuje rozwodniony przez Lindera amerykanizm z głośną radością.

„Pasierbica" odbiega nieco od zwykłego sentymentalizmu Mary Pickford. W roli panny Hart zachowuje się co najmniej, jak aktor amerykański W. Hart, specjalista od miażdżenia szczęk i strzelania do ludzi z konia i pieszo. Mary Pickford jest wojowniczą dziką dziewczynką z gór, która się pięknie dziwi na widok szyn kolejowych. Wielki talent tej artystki polega na niezrównanej zdolności mieszania jaskrawego humoru i gry charakterystycznej z liryzmem. Film ten nie jest również pozbawiony odcienia politycznego, gdyż wśród bujnych przygód panny Hart widzimy także jej spotkanie i udział w „Ku-Kux-Klanie, tajnej, potężnej i zresztą bardzo szkodliwej organizacji „Mściciel" amerykańskich. „Klan" zajmuje się przeważnie tępieniem żydów i murzynów. Nasi jednak murzyni nie zdradzają żadnej obawy i tłumnie zapełniają salę „Wodewilu".

ANTONI SŁONIMSKI

Wogóle to i owo

„ŻYCIE RODZINNE"

W 1912 r. Ignaś miał lat piętnaście i, krótko mówiąc, prowadził się źle. W tornistrze nosił „koły" i „kopije", w głowie — wodę, w ciele całem — mocno przedwczesne chęci człowieka dorosłego. Najgorszą jednak z jego wad była skłonność do trwonienia pieniędzy.

Napróżno ojciec mówił mu codnia mądre słowo: — Ciułaj!

Bez żadnego skutku dobra mama powtarzała co wieczora: — Składaj!

Jak groch o ścianę obijało się o skąd inąd miękką czaszkę Ignasia mądre słowo babki: — Odkładaj!

Ignaś tracił pieniądze na: łódki w Łazienkach, pierniki w Saskim Ogrodzie, panieńską skórkę i irysy, a w tłusty czwartek stracił nawet całe trzy ruble na rzeczownik żywotny.

Podczas wojny Ignaś zaczął mądrzeć. Mądrzał stopniowo i powoli, na tyle jednak szybko, że w 1922 r. zaczął ciułać, składać i odkładać. Od ust odkładał, by tylko więcej uciułać i uskładać. Chudł, szpetniał, czerniał, szlachetniał, chwiał się na nogach, liczył żebra, przecierał ubranie, ale zato tył w mareczki papierowe.

Dnia pewnego, jednego w tych właśnie, kiedy to było łatwiej zdobyć sobie gwiazdę z nieba, niż trochę gotówki w Warszawie, ojciec Ignasia, spożywając obiadowy kotlet wołowy, siekany, skarżył się swej żonie.

— Pół miasta obleciałem i nie mogłem pożyczyć głupiego miljona marek, wyobraź sobie, co za czasy!

— Ja mogę ojcu pożyczyć! — odezwał się z nad talerza dobry syn Ignaś.

— A ty skąd masz? — zapytali razem: ojciec, matka i babka.

— A ciułałem, a składałem, a odkładałem! — z triumfem odwalił Ignaś.

— Idjota! — powiedział ojciec.

— Kretyn! — powiedziała matka.

— Matołek! — powiedziała babka.

Ignaś był bardzo zdziwiony.

W dużym pokoju stołowym zapanowała atmosfera ni w pięć, ni w dziewięć.

— Żeby choć głupiec obrazy kupował! — dorzucił ojciec, wychodząc z pokoju i wyrywając sobie coś nie coś z głowy tuż nad uchem.

ZYZ

PLOTECZKI TEATRALNE

P. Jerzy Leszczyński zrobił ostatnio wynalazek wprost epokowy..... Świadomi rzeczy już się domyślają, że tu mowa o Bogusławskim... I to nie o tym, co się zdaje laikowi, a o tym, co cudotwórczo uzdrawia promieniami mocy tajemnej, wzbudzając podziw i zdumienie. Informacyj bliższych udzielić mogą najbardziej zapalone „pacjentki" p. Bogusławskiego, a więc przedewszystkiem pp. Brydzińska, Dulębianka i Owczarska.

Jeden z teatrów stołecznych ma wystawić niebawem sztukę p. Kaden-Bandrowskiego, ale ma z tem przykry kłopot: autor co drugie zdanie stawia wielokropek. Jeśli aktorzy będą zmuszeni wytrzymać te wszystkie pauzy, to sztukę trzeba będzie grać przez całą noc... Tak samo było zresztą z „Generałem Barczem", do którego „Ignis" musiał specjalnie sprowadzić dwa wagony kropek...

Szczyt konsekwencji? Wszelkie rekordy pobija tu p. Piekarski, nosi bowiem w „Osobnej sypialni" jedną i tę samą czarną gotową „muszkę" do smokinga w pierwszym akcie, do szarego ubrania spacerowego — w drugim i do żakietu — w trzecim. Wygląda też, jak Piekarski na mękach...

Grono baletomanów przysłało dyrek. Szczawińskiemu energiczny protest z powodu zatargu z czarującą p. Zgliczyńską, którą swem małostkowem skąpstwem zmusił do ustąpienia. Na pocieszenie jej wielbicieli sygnalizujemy, że niebawem znów będziemy napawać się rozkosznym urokiem jej pląsów w teatrze Wielkim.

Mówią, że p. Perzyński jest zaperzony, iż mu „Komedja" nie idzie, a p. Gorczyński zionie goryczą, że mu chcą teatr zwinąć. Zaś p. Konczyński kończy aż dwie nowe sztuki — to się nazywa „zachorować" na płodność.

W teatrach warszawskich dyrekcje dbają obecnie o ładne pokojóweczki w wystawianych sztukach. Tak np. w Małym zachwyca widzów p. Gorczyńska. Gdy tylko wkracza na scenę, na widowni rozlega się pełne uwielbienia „aaa!", a na premjerze ktoś zaryzykował nawet częstochowski, ale słuszny rym: „Jak pączek wabi motyla, tak mnie Gorczyńska Maryla"...

W Komedji nęci wzrok przemiła p. Szelinżanka. Szkoda tylko, że na premjerze spóźniła się z wejściem, tak, że jej koledzy nie wiedzieli co mówić i improwizowali różne niedorzeczności. Co ciekawsze, że zjawiwszy się, śliczna p. Szelinżanka oświadczyła pogardliwie: „Ładna tu służba!" Ładna, bo ładną ma buzię, ale niełądna, bo niepunktualna.

L

FORPOCZTY MODY

W jednej z revue's, granych w najweselszym z teatrów warszawskich, w „Qui pro quo" — Sherlok Holmes popisuje się swoim niezawodnym systemem dedukcji.

— Pan przybywa z Warszawy! — woła na widok któregoś gentlemana.

— Skąd to przypuszczenie?

— To nie przypuszczenie, to pewnik! Żakiet, żółte buciki, czerwony krawat przy białej kamizelce, koszula à la Słowacki, a do tego... miękka panama i parasol! Tak ubierają się tylko w Warszawie!

Genjalny detektyw angielski mówi to bez złośliwości, raczej z politowaniem. Musiał wiedzieć, że nie wrodzony brak smaku, a tylko nonszalancja podyktowała Warszawiakowi ten „oryginalny" strój. Mężowie i bracia znanych z wytwornego szyku Warszawianek niedosyć wagi przywiązują do swoich ubiorów. Przymusowa abnegacja wojenna, czasy „nicejskiej" garderoby z kieszeniami na plecach — na szczęście już minęły. Dowóz najwytworniejszych materjałów, wykwintnej konfekcji męskiej, kontakt z centrami europejskiej mody — wszystko to pozwala naszym panom, dbałym o swój wygląd, ubierać się niegorzej od innych.

Kwestja cen... jak twierdzi pan Kettenhaendler — „nie gra roli!"

Zacznijmy zatem zajmować się sprawą mody męskiej pod praktycznem hasłem: „jak cię widzą, tak cię piszą!"

Łaskawa „Pani" udzieli nam kącika w Jej piśmie na ten cel.

I Jej bowiem na sercu leży dobrze skrojony frak czy smoking partnera od „shimmy" i „fox-trotta".

A więc — do następnego numeru, panowie!

TOMMY

Wszechwładna, kapryśna moda zadecydowała, iż na wiosnę piękne panie nosić będą swetry z rękawami lub bez, i oto na jej rozkaz znana placówka P. C. H. N. zaopatrzyła swój skład, mieszczący się przy ul. Kruczej Nr. 24, całemi stosami różnokolorowego jedwabiu na jumpry, i sprzedaż uskutecznia, począwszy $^{1}/_{4}$ klg.

Jedwab sprowadzony został z Tomaszowskiej Fabryki Sztucznego Jedwabiu, a będąc artykułem krajowym, jest o wiele tańszy od zagranicznego, nie ustępując jednak ani w doborze barw, ani gatunku.

A zatem, która z Pań chce mieć tanie, eleganckie i modne okrycie wiosenne, niech zajdzie do P. C. H. N.

PORADY KOSMETYCZNE

Aurelji z Wilna. Żadne szumnie ogłaszane kremy — śladów po ospie nie wygładzą. Tylko wielokrotne złuszczenie i to umiejętnie przeprowadzone daje dobre rezultaty.

Lucynie. Piegi zwykle występują w marcu. Jeżeli już pani zauważyła punkty pigmentowe, to zaraz należy zastosować płyn Tuja. Jeżeli cera nie jest wrażliwa, można smarować 2 razy dziennie, jeżeli zaś przeciwnie, — jeden raz dziennie wystarczy.

Stokrotce. Jeżeli włosy wypadają skutkiem przebytej odry — to zostawić czasowi, tylko odżywiać się dobrze, bowiem włosy chore muszą wypaść,—czem prędzej tem lepiej. Gdyby się ten stan przedłużał i bardziej włosy wypadały, a szczególnie krótkie — to jest niedawno wyrosłe, proszę zastosować płyn „Eos", który stanowczo Sz. Pani pomoże.

Zgnębionej. Maseczkę Dr. Seguinaud'a przystosowywać choćby raz dziennie na parę godzin, to zmarszczki znikną.

KLIMECKI

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa, Mazowiecka 11 (w druk. „Rola")
Telefon 180-27
SKŁAD GŁÓWNY:
Księgarnia E. WENDE i S-ka Warszawa, ul. Krakowskie-Przedmieście 9, tel. 14-15
Redaktor i Wydawca:
STEFANJA BIGOSZTOWA
Kierownik Artystyczno-literacki:
JAN ŻYZNOWSKI

Odbito w drukarni J. Burlana, Mazowiecka 11.